

ROLA

Rok IV.
Kraków, d. 6 listopada 1910 r.
Nr. 45.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Polski Ojcze nasz.

Ojcze nasz, Ojcze, który jesteś w niebie,
Ty coś narodom granice wyznaczył,
My, Twoje dzieci, głos wznosim do Ciebie,
Byś nam Ojczyznę znów powrócić raczył.

Niech w całej Polsce Twa chwała rozbrzmiewa,
Zlej na nas, Panie, swojej łaski zdroje,
Stary i młody niechaj Tobie śpiewa
Zawsze i wszędzie „Święć się Imię Twoje"!

Na Jasnej Górze ukoronowana,
Polska Królowo! Oto dzieci Twoje
Żebrzą u Syna Twojego i Pana,
By wziął w opiekę to królestwo Swoje.

Bądź wola Twoja na ziemi, jak w niebie.
Co Ty rozkażesz, to niechaj się stanie,
O wolną Polskę jednak prosim Ciebie!
Wysłuchaj Boże to nasze wołanie:

Głodowe lata odwróć od nas Panie,
Byśmy swojego mieli dosyć chleba,
Pokaż nad Polską Swoje zmiłowanie,
A urodzajem pobłogosław z nieba.

Odpuść nam, Panie, nasze przewinienia —
My wszystkie krzywdy darujemy z serca:
Lochy Sybiru, ziemi wywłaszczenia,
Które Polakom zadał wróg — morderca...

Odwracaj od nas wszelkie złe pokusy,
Które to na nas idą dnia każdego,
By nie szkodziły ni ciału, ni duszy,
Ale nas Panie wybaw ode złego.

Piotr Lipowiak.



Niedamy się!

Niechaj mi kto powie
Czy jest taka siła,
Któraby Polaków
Niemcami zrobiła.

My nie upadniemy,
Choćby bardzo wiele
Nam nadokuczali
Nasi nieprzyjaciele.

Niechaj na nas pada
Jeden grom po drugim,
Trzymamy się ziemi
Sercem, pracą, pługiem.

My nie nagniem karku,
Ani podło klękniem,
Żadnego się prawa
Nigdy nie ulękniem.

Uklękniem przed Bogiem,
I zmówim w pokorze:
Ojcze nasz i Zdrowaś,
Dodaj męztwa Boże.

Ojcze nasz i Zdrowaś
I skład apostolski,
Miej Boże w opiece
Biedny naród polski.

A ten naród Polski,
Co Ciebie z radością
Chwali swym językiem,
Obdaruj wolnością.

Jan Bielicki,
włościanin z Kaźmierowa
w Wielkopolsce.

Krzyżacy na Litwie.

XLVII. ŻEBRAK.

Niegodziwa namiętność Sundsteina. — Milkier pod ścianami więzienia. — Uparty żebrak. — Zmowa. — Wyrok na Pojatę. — Sundstein kusiciel. — Walka nad przepaścią. — Ucieczka.

Kiedy nieszczęśliwa córka Lezdejki poświęconą została dla ocalenia Sundsteina, on tymczasem wszystko czynił, żeby w oczach świata mógł jak najlepiej utrzymać postać zupełnie niewinnego, a chociaż wolny, z wdzięcznością zdał się przyjmować nawiedziny przyjaciół, którzy mu życzenia składali, dusza jego, odrzucając udaną radość, srogą się męczarnią dręczyła. Wiedział dobrze, że stryj jego, powrotem mistrzowi kosztów wyprawy, zaledwie zdołał zasłonić go przed najsurowszym wyrokiem, wiedział, że potępienie Pojaty sławę jego naprawi; pragnął więc jej poświęcenia. Nie ubolewał on wcale nad jej losem z powodu niezasłużonych jej cierpień, lecz żałował ją w tej nadziei jedynie, iż możeby jeszcze w szczęśliwej rzeczy kolei serce jej pozyskał. Dzikie i podłe marzenia! Przecież takie tylko myśli zajmowały duszę jego nikczemną i w tym szczególnie zamiarze pragnął ją ratować, lubo nie wiedział, jaki rodzaj kary ją czeka.

Ale mistrz, chociaż co do kosztów wyprawy zaspokojony, szczerze życzył oszczędzić Zakonowi niesławy; nie dopuszczał jednak, aby młody zakonnik, tyle zawiniwszy, nieukarany z sądu wychodził. Nie znajdował w sobie jednak żadnych pobudek litości dla córki pogańskiego kapłana, owszem, przekonany o jej zdradliwych zamiarach wprowadzenia szpiegów do twierdzy, nietylko chciał ją przykładnie ukarać, lecz w tem ukaraniu pragnął razem dać poznać zakonnemu zgromadzeniu, że w rzeczy samej Sundstein był wolnym wszelkiej dla wdzięków poganki słabości, w tym wiec celu kazał tak wyrok ułożyć, aby Sundstein był sprawcą jego dopełnienia. Okropna i sroższa nad śmierć samą powinność dla szlachetnej duszy! Ale Sundstein, wcześnie o niej uwiadomiony, widział w niej tylko sposobność ocalenia marnych wdzięków, które jeszcze w nieszczęśliwej ubóstwiał, lub w jej zgubie zręczność bliższego zaspokojenia szkaradnej swej zemsty.

Chociaż nietylko w mieście, lecz i w murach zakonnych, dla niedania zgorszenia, pilnie ukrywano wszystkie tej sprawy szczegóły, Milkier jednak znalazł sposobność dowiedzenia się o nieszczęśliwym losie swej przyjaciółki; mało on był w stanie jej pomódz, nie mógł jednak przenieść na sobie, żeby się nie starał z nią widzieć. W tym celu kilka razy próbował ująć straż więzienia; ale usiłowania jego zawsze daremne były, życzył przynajmniej choć przez otwór okna kilka słów z nieszczęśliwą pomówić i w tym celu, w odwrotnej stronie więzień, wychodzącej na wały, przechadzał się raz pod wieczór, usiłując odkryć, który z licznych otworów podwala odpowiada mieszkaniu Pojaty.

Miejsce to, zwaliskami starych murów zasute, bezludne i dzikie, bardziej jeszcze powiększało jego zasmucenie. Liczył pilnie małe przy ziemi za kratą otwory i znalazł ten, który do lochu nieszczęśliwej zdał się należeć; lecz, jak naprzekór, ujrzał przy nim klęczącego na gruzach młodego żebraka, kalekę, który smutnym i przeciągłym głosem śpiewał psalm z synów Kore.

Czekał długo Milkier, aż się żebrak oddali; słońce było już nisko, dzwony na wieżach wieczorne modły głosiły; natrętny jednak kaleka, ciągle psalm ponawiając, ani zdał się pomyśleć o opuszczeniu miejsca. Zniecierpliwiony nareszcie Krzyżak, zbliżając się ku niemu, pytał:

— Mój kochany! czego ty tu beczysz, jak utrapiony? Nie mógłbyś to obrać sobie innego miejsca na twoje psalmy żałobne?

— Niech będzie chwała Panu na każdem miejscu! — odpowiedział żebrak — i gdzie niesprawiedliwy raduje się i gdzie nieszczęśliwy. Noc już zapada, a my biedni czego nie wyprosimy za dnia, tem się nie pożywimy na noc.

— Zapewne — ponowił Milkier — lecz tu na tem pustem miejscu nic nie wyśpiewasz. Czemu lepiej nie pójdziesz pod ganki panów, lub nie usiądziesz w bramie, gdzie się lud snuje; tamby ci może prędzej co wpadło do torby.

— Zapewne! chybaby spadło na grzbiet, pod gankami i w bramach są lepsi odemnie, co się dobrze opłacają straży, oniby mi kosturami do reszty połamali nogi, gdybym się tylko między nimi pokazał; niech z Bogiem tam siedzą.

Patrzył z gniewem Milkier na upartego żebraka, a widząc, że surowością nic z nim nie wskóra, starał się dobrocią go ująć.

— Jużci nieźle czynisz — mówił, sięgając do kieszeni — że się nie lenisz nabożnych pieśni, głos masz gładki, weźże ten pieniądz i wynoś mi się zaraz.

— A widzisz pan, że to dobre miejsce — rzekł uradowany żebrak, odbierając jałmużnę — niechże was Bóg błogosławi na zdrowiu, majątku i wszystkiem.

— Ale, mój kochany! — rzekł, przerywając mu Krzyżak — jamci nie na to dał jałmużnę, żebyś tu siedział, ale żebyś stąd poszedł, rozumiesz?

— Żebym stąd poszedł? To być nie może! żebyś mi nawet pan dał całego srebrnika, tobym i wtenczas nie poszedł, to moje miejsce zwyczajne, ta kupka gruzów, biednemu przy biednych najlepiej, albo to mnie kalece chodzić tak łatwo, jak panu? Dlaczegoż to mnie pan stąd wygania? Cóż ja złego tu robię? Przecież cały wie Malborg, żem żebrak z żebraków, a mój ojciec i dziad byli kalekami.

Jeśli tak śmiałe stawienie się nędzarza zdziwiło Milkiera, niemniej i żebrakowi zdało się podejrzanem życzenie Krzyżaka; patrzyli na siebie długo przeciągłem okiem, wreszcie Milkier tak się odezwał:

— Ja nie wątpię, żeś najpoczciwszy człowiek, tylko, żeś może dziś jeszcze nie jadł, tobym cię posłał do mego mieszkania na zraz pieczeni i kufel piwa.

— Prawdziwie, pan jesteś dziwnie miłosierny; głodnym czy nie głodny, to mnie wiadomo najlepiej.

— Ale, jak widzę, mój miły, tyś za śmiały na żebraka, mów mi zaraz, czy pójdziesz stąd?

— Na zraz pieczeni i kufel piwa? Ale jakże mam iść, kiedy nie wiem, gdzie pańskie mieszkanie.

— Mieszkam nad skarbcem, numer 309, rozumiesz? pytaj się tylko do Józefa Milkiera, i poczekaj na mnie na dole, ja wkrótce nadejdę.

— To pan jesteś pan Milkier? — zapytał żebrak — rzucając bystrem okiem po stronach, a twarz jego dziwnem rozradowaniem błysnęła — słyszałem o panu wiele, bardzo wiele dobrego i chciałbym z nim pomówić.

— Dajże mi pokój i wynoś się stąd zaraz.

— Dobrze, już dobrze — mówił żebrak, podnosząc się na kulach leniwo — numer 309 nad skarbcem, gdyby człowiek miał nogi, nie potrzebowałby tych kijów; przecież lepiej jest nóg nie mieć, niż nie mieć serca, ale dziwne są Boskie sądy! — I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy, mówi sto razy na dzień każdy Krzyżak, a żaden, żaden się nie wstawi za biedną sierotą!

— Za jaką sierotą?

— Alboż to mało w tych lochach siedzi sierot nieszczęśliwych? Trzy dni temu widziałem, jak tam prowadzono młodą Litewkę, jużci to prawda poganka, ale napisano: Nie mów fałszywego świadectwa, a kochaj bliźniego jako siebie samego.

— Więc ty się nad jej losem litujesz? — zapytał Milkier — dlaczegóż się litujesz?

— Dlatego, że nieszczęśliwa.

— Mój kochany, trudno się z możniejszym spierać.

— Nie trudno, z kim Pan Bóg — odpowiedział żebrak, podniósłszy się na kulach — żebym tylko był pewny, że pan jesteś pan Milkier...

— Dziwisz mnie, mój przyjacielu! ale powiedz mi, na co ci się przyda ta pewność?

— Na to, żebym mu także o sobie coś więcej niż te kule powiedział.

— Kiedy cię zapewniam, że jestem niezawodnie Milkierem.

— Więc to pan tej nieszczęśliwej towarzyszyłeś w drodze?

— Tak jest, jam ją tu przywiózł.

— Pan jesteś jej przyjacielem. — Daj mi tylko słowo rycerskie, że mię nie zwodzisz, a wkrótce poznasz mię lepiej.

— Masz je! — rzekł Milkier, podając mu rękę.

— Dowiedz się więc — odpowiedział żebrak głosem z głębi duszy wychodzącym — żem poprzysiągł ratować Pojatę lub z nią zginąć.

— Śmieszny jesteś mój bracie! ktokolwiek być możesz – rzekł Krzyżak, patrząc na skurczone jego nogi — czy temi szczudłami masz ją ratować?

— A gdyby mi nie schodziło na siłach, czybyś mię wspierał?

— Cyt! — patrząc w górę po oknach zamkowych, mówił Milkier — o tem możesz nie wątpić.

— Masz mię więc gotowym! — rzekł żebrak — stając rzeźko na nogach.

— Co widzę? — rzekł zdziwiony — tyś zdrów i tak dzielnie wyglądasz! mów tylko, czem ci mam dopomódz.

— Słuchaj! ja wiem najlepiej, kiedy i jaka ją kara czeka, dostań mi tylko sukni krzyżackiej i miecza o dobrem ostrzu, poznasz mię lepiej. Zresztą — ukazując mu z zanadrza pełen trzos złota — będzie czem i twoją usługę zapłacić i drogę sobie otworzyć.

— Ale któż ty jesteś? — pytał Milkier przejęty na pół podziwem i uradowaniem.

— Później się dowiesz, teraz chwile są drogie, mogęż zaufać?

— Wszystko mieć będziesz! tylko ją ratuj, chodź do mnie, tam się lepiej rozmówimy.

Natychmiast żebrak, wracając do pierwszej swej niedołężności, zwiesił się na kulach i wlókł za Milkierem. Tymczasem nieszczęśliwa Pojata, nie wiedząc wcale o przedsiębranych sposobach na jej ratunek, łzy tylko własne miała świadkiem swych cierpień; czasem ją uderzył z góry głos bolejącego śpiewania i donośniejszym wyrazem obudził w jej duszy nadzieję. Zbliżała się do otworu, chciała więcej usłyszeć, ale jej okienko, kilka sążni od ziemi wzniesione, niełatwo z pocieszającego pienia dozwalało korzystać, przecież dobiegły wyrazy i z nich treść schwycona, zalecać jej zdawały się spuszczenie na wolę nieba i jego święte wyroki; wtenczas nauki Trojdana, stawiąc się jej myśli, wlewały w nią męztwo.

Przyszedł nakoniec dzień spełnienia jej losu. Noc swym cieniem okrywać zaczynała ziemię, gdy instygator w towarzystwie pisarza, z latarnią wszedłszy do więzienia, kazał się jej przygotować do wysłuchania wyroku.

Wyrok głosił, że »Pojata, córka Lezdejki, pogańskiego kapłana, obwiniona o trojaką zbrodnię, przekonana sądownie, wyrokiem tajnej kapituły skazana jest na śmierć przez wtrącenie w przepaść, znajdującą się w murach zamkowych«.

Słuchała Pojata wyroku, nie dając żadnego znaku bojaźni. Gdy skończył pisarz, zapytał instygator, czy nie byłoby jej życzeniem umrzeć chrześcijanką, donosząc, że jej ta łaska mogłaby być udzieloną; nieszczęśliwa odpowiedziała, że chce umrzeć w wierze ojca swojego; lecz, jeśli może być miany dla niej wzgląd jaki, prosi, aby sznurek pereł, który nosi na szyi, był odesłany jej ojcu. Instygator odpowiedział, iż będzie miała sposobność prosić o to Sundsteina, z którym się jeszcze zobaczy. Zadrżała na tę wiadomość, chciała błagać, aby jej oszczędzono tego widoku, lecz instygator, opuściwszy więzienie, nie dał jej czasu otrzymania tej łaski.

Już wiadoma jest czytelnikowi głęboka przepaść, znajdująca się w ścianie jednego z kurytarzów zamkowych, w którą wtrącano winnych zbrodni zakonników; przepaść ta u dołu łączyła się z odnogą Wisły, Nogatem zwaną, która pod zamkowe podpływała mury; tam winowajca wrzucony, w głębi wód kończył nędzne życie, szczęśliwy, jeśli niezatrzymany w okropnym upadku przez przeszkodne ściany, na dnie rzeki znalazł śmierć prędką. Tam to Pojata miała smutne dni skończyć.

Przeznaczony Sundstein do tej strasznej posługi już to dla oszczędzenia sobie niesławy, już w nadziei uratowania dziewicy, jeśliby głosu jego usłuchać chciała, umiał wyjednać sobie, aby tej powinności bez świadków dopełnił. Odpowiadała jego życzeniu wola mistrza, który chciał przez to oszczędzić Zakonowi niesławy, a młodzieży zgorszenia; jeden tylko uzbrojony Krzyżak miał być widzem tej okropnej czynności, żeby w potrzebie Sundsteinowi dał pomoc, a po spełnionym wyroku doniesienie jego potwierdził.

Pojata spokojnie oczekiwała chwili rozstania się z życiem; wiedziała dobrze, że ta noc jest już dla niej ostatnią, śmierć w jej oczach nie miała odrazy; widziała w niej matkę, mającą uśpić dziecię snem pożądanym, każda ją myśl coraz z nią ściślej łączyła; kilka jeszcze chwil nieznośnego widoku człowieka, który był jej udręczeniem, a potem nieodzowna niewinności zapłata.

Przyszła nakoniec naznaczona godzina: dzwon na wieży północ ogłosił, wszystko spoczywało w milczeniu, gdy wyprowadzona z więzienia przez straż, na wejściu do zamku w ręce Sundsteina oddaną została; pierwszy to go raz ujrzała po rozłączeniu z nim przez Ulrycha. Na widok jego opuściła ją moc duszy — mdłe światło kagańca, na pustym kurytarzu tlejące, w głębi jego ukazywało zbrojnego Krzyżaka, który u przepaści stał jak posąg nieporuszony. Postępował zwolna ku niemu Sundstein, prowadząc chwiejącą się ofiarę; siły jej coraz zmniejszały się; wkrótce ugięły się kolana, warkocz jej rozwinięty spłynął mu przez rękę, oczy zamknięte życia nie objawiały; zwolna ją wiódł morderca, zajęty więcej jej gasnącemi wdziękami, niż swą okrutną czynnością, a zbliżając się do przepaści, tak się jeszcze do niej odzywał:

— Nieszczęśliwa kochanko! trzebaż było, żeby nieużytość twoja wpędziła nas w los tak okrutny, ale nie myśl, żebyś zginęła inaczej jak ze mną, ach! jakżeś zachwycająca zawsze, Pojato! Usłysz mnie teraz przynajmniej! jeszcze trzy kroki do śmierci, zaufaj mi! jeszcze dni możemy pędzić szczęśliwe! — Słuchaj, straże są przekupione, bramy otwarte, dzień jeszcze daleko, wyrzecz jedno słowo tylko! — mów, chceszże żyć? ale żyć dla mnie!

— Śmierć raczej! — odpowiadała umarłym głosem dziewica.

— Śmierć! — powtórzył pełen wściekłości Sundstein — o nieugięta duszo! śmierć przekładasz! spojrzyj w tę przepaść!

— Chcę umrzeć! — odpowiedziała Pojata.

— Umieraj więc! — zawołał dziki morderca i zbliżywszy się do przepaści, jeszcze nie mógł oderwać iskrzących się oczu od bladej twarzy dziewicy, nakoniec bezbożny u progu śmierci, zbliżywszy swe tchnienie piekielne, chciał jej niewinne usta pokalać.

— Stój, zuchwały! — wznosząc mu miecz nad głowę, zawołał groźnie stojący u przepaści Krzyżak.

— Kto jesteś? — zapytał przerażony Sundstein — straż tego miejsca nie tobie miała być powierzoną!

— Broń się! — odpowiedział nieznajomy, odłączając go orężem od napół umarłej dziewicy.

— Jestem zdradzony! — zawołał Sundstein, dobywając oręża.

Ale nieznajomy nie dał mu czasu przyjścia do sprawy i tak natarczywie napadł, że ustępujący Sundstein, chybiwszy kroku, wpadł w przepaść i już go nie było; głuchy tylko chrzęst jego korda i szyszaka dał się za nim słyszeć. Natychmiast rycerz, porwawszy Pojatę, z szybkością strzały przebiegł ciemne kurytarze i pod imieniem Sundsteina, przebywszy szczęśliwie pierwsze wyjścia, dobrze już przez niego opłacone, za pomocą złota dostał się za wały i na przygotowanych koniach uježdžał dalej z dziewicą.

Kiedy już teraz wolniejszem oddycha powietrzem, wróćmy do Litwy i zobaczmy, co tam do tej pory zaszło.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jesień.

Idzie cicha, zadumana, blada,
Płaszczem z mgławic otulona wkoło,
Reszta liści z drzew przed nią opada
I ozdabia jej bielutkie czoło.

Smutnym dźwiękiem swej harfy Eola
Zagłuszyła luby śpiew ptaszęcy,
Co zapełniał nam gaje i pola;
Smutno, jakby już nie wrócił więcej...

Jakże dziwny smutek wkoło czuję,
Wszędzie widzę gołe drzew korony,
Mgła się tylko ponad nimi snuje
I gnieniegdzie kraczą zmokłe wrony...

Już i serce moje tak nie marzy,
Jak marzyło, kiedy wiosna była,
Lecz i smucić ono się nie waży
Wierząc, że znów wiosna będzie żyła.

Wierzy, że znów pokryją się łąki
Cudną runią i tysiącem kwieci,
Że zanucą pieśń życia skowronki,
Na lazurze słoneczko zaświeci!

Robert Rydz.
wieśniak z Trynitatis.



MACIEK BZDURA GADA:

Kiej się mnie pytacie, jakiemby sposobem zostać wójtem, to wam i insem ludziom w dzisiejsy gazycie dokumentnie opowiem.

Wójt, to znowu nie takie wielgie mycyje, jak się widzi. Jak wójt ma rozum, to mu to nie zawadzi, ale jak go nima, to się obejdzie. La tego tez ani się nie pytom, cy macie rozum na wójta, cy nie. Przecie wiem o tem nietylko ja, ale i Magda od Bartka, ze wójtowi rozum niekoniecny, ino pisarzowi, bo pisarz najwyżsiejsza figura we wsi i on wsyćkiem rządzi.

Powiadacie, zeście dość wielgi i macie mowę głośną i zeście na wiecach wiele krzyceli. Ehe, na takie rzecy dziś ludzi nie złapiecie, bo oni się juz na tych krzykacach wiecowych poznali i padają, ze taki, co duzo krzycy, to dobry na fornala, ale nie na posła i nie na wójta.

Aby zostać wójtem, to teraz trza inacy robić. Jak się zejdziecie z gospodarzami, cy to przy kościele, cy w Kółku, to nie trza nic gadać, boby ludziska zaraz poznali, jaki wy rozum macie i z wójtowstwem byłaby klapa; ale cy się wam widzi cyje gadanie, cy nie widzi, to ino trochę głową kiwnąć. Ludziska będą myśleli, ze wy taki okropny mędrzec i wójtem będziecie. Ale znowu nie zanadto kiwajcie, abyście kiedy jakiego głupstwa nie wykiwali. Jak nie wicie, cy na jakie gadanie trza kiwnąć głowom, cy nie kiwnąć, to najlepi wtedy się uśmichnąć, ale znowu nie tak od stodoły do stodoły, ino tak troskę. Ten co gada i ci co słuchają, nie będą wtedy wiedzieć, cy wy się z jego głupiości, cy z jego mądrości śmiejecie. Na głośnem śmianiu kazdy się pozna a na cichem nikt.

Jak juz przyjdzie wybiranie, to samemu trza udawać, ze się o wójtowanie nie stoi, boby zaraz insi zazdrościli i sami chcieliby wójtować. Trzeba jednak swoi babie dobrze nagadać, a nie zaszkodzi i zarnówkę pokazać, aby ona z kumami o tem pogadała. Wiadoma przecie rzec, ze gdzie zły nie poradzi, to tam babę pośle.

Przy tem wsyćkiem nie zawadzi o starym wójcie między ludzi puścić takie gadanie:

— Co mi to był za wójt, kiej jak go wybrali, to la gromady ani chrzcin nie sprawił, ani pogrzebu, ani zadnej insej wesołej zabawy. Ludzie są niegłupie, to zaraz spenetrują, ze jak wy zostaniecie wójtem, to wselakich urocystości będzie chmara. Poniewaz zaś ludzie na wselaką wyzyrkę są chciwi, to się wam wójtowanie wykroi.

Z takiego wójtowania to tam po prawdzie pociechy w gminie nie będzie, ale gromada sama se będzie winna, ze takiego chochoła wybierała, a nie rozumnego i porządnego chłopa. Choć bywa u nas i tak, ze ludzie wolą lichego wójta, jak dobrego.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

36.

August III, pozbywszy się swego przeciwnika, wjechał hucznie i wspaniale do Warszawy na sejm, który jeden tylko udał się za jego panowania, albowiem wszystkie inne sejmy były zrywane. W Polsce zaczynało się dziać coraz gorzej, bo nikt nie starał się o jej poprawę. Wszyscy zbytkowali w ubiorach, pijaństwie i zabawach. Każdy chciałby był rządzić a nikt nie chciał słuchać, a to tylko mogło wyjść na szkodę kraju.

Król zaprzyjaźnił się z carem moskiewskim i we wszystkiem go słuchał a tymczasem w Polsce hulano i bawiono się, tak że powstało przysłowie: »Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa«. Ludzie, którzy żyli w owych czasach, powiadali, że w Polsce panowały nieprzerwanie zapusty, ze względu na owe szalone zabawy.

Marszałkiem królewskim był niejaki Mniszech, który wszystko królowi tłómaczył, gdyż ten nie umiał ani słowa po polsku. Pewnego razu Mniszech wydarł swojemu sąsiadowi kawał ziemi, przypierający do jego posiadłości. Poszkodowany chciał podać prośbę królowi, napisaną po łacinie. Mniszech łagodził proszącego, aby się nie naprzykrzał królowi, lecz ten nie chciał ustąpić. Wtem nadszedł król i zobaczył płaczącego biedaka, więc kazał sobie opowiedzieć, o co chodzi.

Mniszech skoczył po rozum do głowy i powiedział, że człowiek ów pogorzał i prosi o sto dębów z lasów królewskich w puszczy Niepołomickiej. Król dał asygnacyę na dęby, zaś Mniszech cygańskim sposobem został przy roli, a wszystko przez to, że król nie umiał po polsku.

Król August III był jakby malowanym królem; często przesiadywał w Dreznie, które jest stolicą Saksonii, a do Polski mało zaglądał. Za niego rządził jego faworyt Bryl, bardzo wielki marnotrawca, który sprzedawał za pieniądze urzędy. Gdy August III umarł w Dreznie w 1762 roku, żałowali go tylko pijacy i lamparci.



August III oszukany przez Mniszcha.

Grunwald na wsi.

Chełmek, 25 października.

W dniu 16 b. m. obchodziła gmina Chełmek w pow. chrzanowskim, 500 rocznicę pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem. Urządzeniem całego obchodu zajął się znany z energii i zapału do pracy, lubiany przez wszystkich w gminie kierownik szkoły p. Jan Błaszczyk, przy pomocy nauczyciela p. Zygmunta Zajchowskiego. Celem utrwalenia pamiątki obchodu wzniesiono na wzgórzu obok drogi w pobliżu rzeki Przemszy, stanowiącej granicę od Prus, na skale, wysoki na $3\frac{1}{2}$ metra, widny zdala pomnik grunwaldzki z kamieni zaprawionych na cemencie.

Pomnik ten powstał drogą drobnych składek, większymi zaś datkami przyczynili się: Jan Matyja, naczelnik gminy, który zapłacił robociznę, Jan Pactwa młodszy, który zwoził kamienie, Andrzej Bożek, przewodniczący Rady szkolnej miejscowej, który dał na pomnik 10 kor., Adolf Mehl, który złożył 4 kor. oraz dostarczył wapna i furę piasku, p. Mandelbaum, który złożył 5 kor. oraz Bratnia pomoc, która asygnowała kwotę 5 kor.

Dozór nad budową objął p. Zygmunt Zajchowski, pracując równocześnie jako robotnik, dzieci szkolne zaś znosiły na wzgórze mniejsze kamienie i wodę.

O godz. pół do 10 rano wyruszył pochód złożony z 70 dzieci szkolnych z chorągiewkami o barwach narodowych oraz tłumu ludu, przebranego w większej ilości w piękny strój krakowski na nabożeństwo do oddalonego o pół godziny drogi kościółka parafialnego w Bobrku.

Pochód prowadził chorąży, dzierżąc w ręku wysoki i piękny sztandar o barwach narodowych a za nim postępowała muzyka przygrywająca w pochodzie.

Po nabożeństwie ze wzgórza w pobliżu kościoła przemówił do zebranych w ilości parę tysięcy osób, przybyłych z Bobrku większego i mniejszego, Gromca, Szyjek, Gorzowa i Chełmku Dr. Karol Smoleń, adwokat w Chrzanowie, wyjaśniając powstanie i upadek zakonu Krzyżackiego, przebieg bitwy pod Grunwaldem, powstanie i rozwój Prus, oraz ich zdradziecką dla nas politykę, a kiedy zakończył zwrotem, że lud oświecony wzbudzi i przywoła do życia zagrabioną Polskę, z piersi obecnych wieśniaków wyrwał się okrzyk: »Niech żyje Polska« i popłynęła potem z tysiąca piersi pieśń »Boże coś Polskę« i »Jeszcze nie zginęła«.

Pod pomnikiem przemówił w podniosłych słowach Jan Rąb, dyrektor szkoły męzkiej z Chrzanowa, poczem o godz. 5 popołudniu odbyło się w domu Bratniej Pomocy przedstawienie. Grano »Rycerzy Jadwigi«. Dziatwa szkolna czteroklasowej szkoły

w Chełmku wywiązała się doskonale ze swych ról, grając z przejęciem i zupełnem zrozumieniem myśli tej sztuki, bez zarzutu też odśpiewała pieśń: »Boga-Rodzico Dziewico«. Zasługa to kierownika szkoły p. Błaszczyka, który już kilka razy w b. r. urządził w Chełmku przedstawienie amatorskie.

Scenę przystroili członkowie miejscowej straży skarbowej, którzy nadto zajęli się sprzedażą biletów dali drobne datki oraz byli pomocni przy budowie pomnika.

Po przedstawieniu, na które przybyli także i Niemcy z Prus, którzy w każdą niedzielę zjawiają się w Chełmku, odśpiewała licznie zebrana na przedstawieniu publiczność kilka patryotycznych pieśni.

Siersza, 27 października.

W niedzielę dnia 23 b. m. odbył się obchód grunwaldzki w Sierszy, którego przebieg był następujący:

Rano uroczyste nabożeństwo w kościele w Krystynowie, na które przybyli Sokoli, reprezentacye Towarzystw i ludność Sierszy. O godzinie 4 popołudniu przed budynkiem gminy przemowa Dra Wróbla, oraz przemowa delegata partyi socyalistycznej z Krakowa, poczem na pobliskiem wyniosłem wzgórzu wzniesiono 12 metrów wysoki krzyż, u stóp którego przemówił do zebranych Dr. Karol Smoleń, adwokat z Chrzanowa, poczem ks. kapelan Fołta z Krystynowa poświęcił krzyż i wygłosił stosowną przemowę. Przy świetle pochodni udano się do Sokoła na uroczysty wieczór muzykalno-wokalny. Dr. Eber i Peters artystycznie odegrali kilka utworów muzycznych, panny: Szafrańska i Olesówna odśpiewały kilka pieśni, darzone burzą oklasków. P. Patyna deklamował »Grób Agamemnona« oraz »W rocznicę wielkich dni Grunwaldu«, poczem miejscowi amatorzy odegrali »Rycerze Jadwigi«. Uroczystość zakończyło wręczenie przez prezesa Sokoła Olasa niestrudzonemu działaczowi społecznemu Dr. Ignacemu Wróblowi adresu, podpisanego przez wszystkich zebranych. Dr. Wróbel podziękował w krótkich słowach wszystkim zebranym

Nowojowa, 30 października.

W szeregu obchodów grunwaldzkich, które odbyły się w naszym powiecie, obchód w Nowojowej d. 23 b. m. należy do najwspanialszych. Odbył się staraniem hr. Adamów Stadnickich, ks. dziekana Żabeckiego i przy uczestnictwie delegatów T. S. L. z Nowego Sącza. Zebrała się na uroczystość kilkutysięczna ludność z parafii nowojowskiej; dziatwa szkolna z nauczycielami przybyła z Nowojowej, Chomrzysk, Złotnego, Łabowej, Barnowca, Czaczowa, Popardowej i Rybia.

Po solonnem nabożeństwie w miejscowym kościele wyruszono z procesyą pod pięknie ustrojony krzyż grunwaldzki, który stanął na widocznem miejscu obok gościńca, a tuż przy parku hr. Stadnickich. Po poświęceniu krzyża przemówił ks. Żabecki i prof. Br. Kryczyński, który wskazując na Nowojowszczyznę, jako na ważną placówkę narodową, podziękował imieniem T. S. L. hr. Stadnickim i ks. Żabeckiemu za tak serdeczną troskę około dusz polskich.

Następnie udano się do pięknego budynku Czytelni T. S. L., gdzie pp. Benisz i A. Jarończyk wykładali włościanom i dziatwie szkolnej historyę polską przy pomocy obrazów świetlnych. Do włościanek przemówiła p. B. Löschówna o królowej Jadwidze, a wreszcie pp. Mazur i Kryczyński pouczyli o spisie ludności, by wszyscy Polacy zostali zaliczeni do Polaków.

Cała uroczystość wywarła na obecnych niezatarte wrażenie. Niejeden z uczestników wzmocnił się na duchu, odświeżył swą wiarę w przyszłość narodu a serce jego żywiej i mocniej bić poczęło. To też wdzięczni jesteśmy inicyatorom obchodu za jego urządzenie, a gościom, którzy uroczystość ową swą obecnością zaszczycili ślemy tą drogą serdeczne »Bóg zapłać«. Oby tylko zgoda wśród braci Polaków zapanowała, a zaświta Ojczyźnie przyszłość jaśniejsza.

Zamulińce, pow. kołomyjski, 30 paźdz.

Dnia 23 października b. r. obchodziliśmy uroczyście rocznicę 500-lecia grunwaldzkiego. Uroczystość utrwalono wkopaniem krzyża ufundowanego przez samych włościan Polaków zamulinieckich, za inicyatywą Jana Wolskiego i Dymitra Marcinowskiego. Uproszony na tę uroczystość wikary z Kołomyi ks. Karol Czerniatowicz po odprawionej Mszy świętej w kapliczce miejscowej wyruszył z procesyą do ochronki, gdzie wkopany w podwórzu krzyż dębowy poświęcił i w krótkich słowach przemówił do licznie zebranych miejscowych i okolicznych parafian. Wytłomaczył znaczenie wkopanego krzyża; przypominając dzielność naszego narodu a także chęć pomocy Rusinów, którzy jednak przy małej odwadze a na widok niezliczonych sił wroga uciekli z pola walki, pozostawiwszy naszych.

Krzyż wkopany, prócz pamiątki pogromu grunwaldzkiego, za łaskawem zezwoleniem księdza Arcybiskupa J. Bilczewskiego, ma własności dostąpienia część odpustu, kto pod nim modły swe wzniesie do Najwyższego i ucałuje go.

CZEMU BIEDA?



— Czemu bieda w mojej chacie?
— Wódkę pijesz — temu, bracie!
Zamiast krzyknąć: Wara bieda!
Ty o wódkę prosisz żyda.

— Czemu ciemno w mojej chacie?
— Nic nie czytasz — temu, bracie,
Grosza szkoda ci na książkę,
Lecz żydowi niesiesz gąskę.

— Czemu brudno w mojej chacie?
— Bo o czystość niedbasz, bracie,
W wolnych chwilach grywasz w karty
Chata brudna, dach obdarty.

— Czemu nudno w mojej chacie?
— Boś sam nudziarz — temu, bracie,
Bo cię wszystko w domu gniewa,
Lecz żyd wesół, gdy nalewa.

— Czemu nędza w mojej chacie?
— Nie dbasz o nią — temu, bracie,
Po zabawie późno wstajesz,
Dzieci bijesz, żonę łajesz.

— Czemu smutno w mojej chacie?
— Skąd wesoło ma być, bracie,
Gdy ty wszystkie wolne chwile
Poza domem spędzasz mile.

— Może prawdę mi mówicie?
— Świętą prawdę, sami wiecie,
Źle wam nigdy nie życzyłem,
— A ja biedak ślepy byłem.

Dosyć tego! wara biedzie!
Nie ujrzysz mnie w karczmie żydzie
Już opuszczam to bezdroże,
W pracy Pan Bóg mię wspomoże.

Karol Baron.

Nad brzegiem morza.

Narzekają nieraz ludzie na ciężką pracę, która często krwawe krople potu z czoła wyciska, która utrudza człowieka od świtu do nocy i nieraz zazdroszczą innym ich, napozór lżejszych zajęć. Ale jakże często mylą się! Zdawałoby się, że życie rybaka nad morzem, który swoją lekką łódką pruje fale morza, a zapuszczając w głębie wód sieci, otrzymuje plon obfity, należy do zajęć bardzo przyjemnych; że jest ono raczej rozrywką, niż pracą.

Jeżeli rzecz całą osądzi się tylko powierzchownie, to ona rzeczywiście tak się przedstawi, ale gdy zwróci się uwagę na ciągłe niebezpieczeństwa, na jakie rybacy są narażeni, wtedy praca nasza, choćby nie wiem jak ciężka, wyda się nam tylko zabawką.

We Włoszech, nad morzem Adryatyckiem, cała wieś Isolino, była zamieszkałą przez rodziny rybackie. Gdy tylko świt zarumienił niebo, wychodzili mężczyźni nad morze, nawoływali się wzajemnie i, siadłszy w swe łodzie, zapuszczali się na fale morskie. Żony ich, siostry i córki wychodziły przed domy, a wiewając ku odjeżdżającym chustkami, żegnały ich, jak gdyby nigdy nie mieli powrócić do domu.



....rybacy znieśli nad brzeg trzy martwe ciała.

Było to w sierpniu bieżącego roku. W piękny dzień poniedziałkowy wyszedł z chaty swej Jan Serani, młody i bardzo dorodny mężczyzna, a rzuciwszy szybko okiem po niebie, odezwał się do niewiasty postępującej za nim:

— Piękny dzień będziemy mieli dzisiaj, a może i połów nienajgorszy.

— Oj, zdałoby się, zdało — odrzekła niewiasta. — Już od kilku tygodni grosza brak w domu, dzieciom jeść niema za co kupić, bo z dniem każdym ryb mniej, a żyć trzeba.

— Da Bóg, dzień dzisiejszy będzie szczęśliwszym — rzekł Jan — i zamierzał iść ku łodzi.

— Słuchaj, mężu — zatrzymała go niewiasta — trzebaby raz coś postanowić z siostrą twoją. Filip i Jakób nagabują ciągle dziewczynę, aby zezwoliła z jednym z nich na związki małżeńskie. Dziewczyna się waha i nie wie, którego wybrać: obaj dorodni, pracowici. Trzeba jejradą służyć, bo szkoda dziewczyny.

— Słusznie mówisz — rzekł Jan — lecz rzeczywiście trudny wybór.

Powiedziawszy to, zamyślił się mężczyzna. Po chwili głowę w tył odrzucił i zawołał:

— Mam sposób! Kiedy my na rzecz jednego rozstrzygnąć nie możemy, niech los rozstrzyga: który z nich dzisiaj obfitszego połowu ryb dokona, tego żoną zostanie Julia.

Pochwaliła niewiasta myśl mężowską, a złożywszy na skroni jego pożegnalny pocałunek, skierowała swe kroki ku domowi, Jan zaś wsiadł do swej łodzi i popłynął na morze.

Elżbieta, takie było imię niewiasty, wszedłszy do izby mieszkalnej, przywołała ku sobie Julię i opowiedziała jej, co z mężem postanowili. Na pytanie bratowej, któremu z nich więcej szczęścia życzy, nic dziewczę nie odrzekło, ale zamyśliło się głęboko. Dopiero po dłuższej chwili zawołała:

— Niech los wyznaczy, ale gdy będzie mądry, to poszczęści Filipowi.

Uśmiechnęła się Elżbieta, usłyszawszy ten okrzyk, bo poznała, że Julia więcej sprzyja Filipowi. Nie strapiła się tem spostrzeżeniem, gdyż Filip zasługiwał zupełnie na wybór. Bała się tylko, aby mąż w czasie odpoczynku na morzu nie zdradził się przed towarzyszami z postanowieniem, gdyż mógłby tem wzbudzić między Filipem a Jakóbem śmiertelną nienawiść.

Dzień dla niewiast wlókł się bardzo powoli. Obydwie z upragnieniem wyczekiwały wieczoru — a z nim wyniku połowu. Ciekawe były czy też los odgadnie skryte życzenia Julii i poszczęści Filipowi. Lecz wtedy, gdy człowiek na coś czeka, chwile stają się latami. Wskazówki na zegarze wiszącym nad łóżkiem posuwały się jakoś powoli a choć już i południe nadeszło, oczekującym zdawało się, że co najmniej rok czasu zbiegł od odjazdu rybaków. Nareszcie tarcza słoneczna poczęła się przechylać ku zachodowi. Wieczór zbliżał się coraz bardziej, a z nim chwila powrotu naszych rybaków.

Elżbieta i Julia wybiegły nad brzeg morza i poczęły śledzić powierzchnię wód. Nareszcie zdala zobaczyły kilka łodzi rybackich. Mniej ich jednak było niż zrana. Jakieś niedobre przeczucie tknęło nasze niewiasty.

— Czy aby, broń Boże, nie jakie nieszczęście?

Łodzie przybliżały się coraz bardziej i teraz mogły już zauważyć, że brakowało trzech łodzi: Jana, Filipa i Jakóba. Obawa ścisnęła serce Elżbiety, smutkiem powlokło się oblicze Julii.

— Nie, nie — szepce Elżbieta — oni nadpłyną... oni tylko się spóźnili.

— Oj, nie spóźnili się, nie spóźnili — słychać jako odpowiedź, głos z łodzi. — My ich tutaj przywieźli, towarzyszy naszych.

— Boże! co się stało? — woła Elżbieta i chce biedz ku łodziom. Powstrzymali ją jednak rybacy i inne kobiety, przybyłe nad brzeg morza.

Tymczasem rybacy znieśli na brzeg trzy martwe ciała, owinięte w białe płótna i ułożyli je obok siebie, jak robotnik układa snopy przed młocką na boisku. Dopiero wtedy jeden z rybaków opowiedział, że fala morska rzuciła łodzie ich na skały, a ci trzej rybacy, mimo szybkiej pomocy, znaleźli śmierć w nurtach morza. Towarzysze ich tyle tylko zdołali uczynić, że wyłowili ich trupy.

Na tę wiadomość Elżbieta, prawie omdlała, nie mogła się od łez powstrzymać, lecz niemniej bardzo bolała i Julia, która resztę życia przepędziła w klasztorze.

———x———

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

NIESZCZĘŚCIE CZY WYPADEK?

Nazajutrz, 22 marca, o szóstej zrana zaczęto przygotowania do odjazdu. Termometr wskazywał 12 stopni poniżej zera a powiew wiatru ostro dojmował. Kry były coraz gęstsze na wolnych wodach. Morze zdawało się zewsząd zamarzać. Liczne czarniawe płaty, rozpostarte na jego powierzchni, zapowiadały rychłe tworzenie się nowych lodów.

Wszelako rezerwoary wodne zostały wypełnione i »Nautilus« powoli się zanurzał. W głębokości tysiąca stóp stanął; śruba jego zaczęła rozbijać fale i posunął się prosto na północ. Ku wieczorowi płynął już pod niezmierzoną skorupą lodowiska. Osłony na szybach salonu były przez ostrożność zamknięte, bo pudło »Nautilusa« mogło uderzyć o jaką zatopioną bryłę lodu. To też spędziłem ten dzień na porządkowaniu zapisków, potem zasnąłem.

O trzeciej nad ranem zbudziło mnie gwałtowne wstrząśnięcie. Podniósłszy się na łóżku przysłuchiwałem się wśród ciemności, gdy nagle rzucony zostałem na środek pokoju. Oczywiście »Nautilus« uderzony o dno morza, znacznie pochylał się na bok.

Trzymając się ścian, powlokłem się przez podłużne korytarze do salonu z świetlnym sufitem. Sprzęty były powywracane. Szczęściem oszklone szafy, silnie przymocowane do podłogi, pozostały nieuszkodzone. Obrazy na prawej ścianie, skutkiem zmiany położenia statku, przylegały szczelnie do obicia; na lewej zaś odstawały przy dolnej ramie o całą stopę. »Nautilus« był więc pochylony na prawy bok, a co więcej zupełnie nieruchomy.

Wewnątrz słyszałem szelest kroków i pomieszane głosy; ale kapitan Nemo nie pokazał się. — W chwili gdym miał opuścić salon, weszli Ned-Land i Konsel.

— Co się stało? — żywo zawołałem.

— Chciałem się właśnie pana o to zapytać — odpowiedział Konsel.

— Do tysiąca dyabłów — krzyknął Kanadyjczyk — wiem ja dobrze, co się stało. »Nautilus« uderzył o dno morskie, a wnosząc z jego położenia, nie sądzę, żeby się teraz tak łatwo wywinął, jak pierwszym razem w cieśninie Torreadzkiej.

— Trzeba się spytać kapitana Nemo — powiedział Konsel.

— Ale gdzie go szukać? — wtrącił Ned-Land.

— Chodźcie ze mną — rzekłem moim towarzyszom.

Wyszliśmy z salonu. W bibliotece nie było nikogo. Przypuszczałem, że kapitan Nemo musi się znajdować w klatce sternika. Najlepiej więc było zaczekać. Wróciliśmy wszyscy trzej do salonu. Pominę milczeniem złorzeczenia Kanadyjczyka. Zaiste, wyborny miał powód do uniesień. Pozwoliłem mu wybuchnąć gniewem dowoli, nic nie odpowiadając.

Zostawaliśmy tak przez dwadzieścia minut, usiłując pochwycić najmniejszy szelest, rozchodzący się wewnątrz »Nautilusa«, gdy wszedł kapitan Nemo. Zdawał się nas nie widzieć. Twarz jego, zwykle tak obojętna, zdradzała pewną niespokojność. Popatrzywszy uważnie na przyrządy, dotknął palcem jednego punktu mapy półkuli w tej części, która wyobrażała morza południowe.

Nie chciałem mu przerywać. Dopiero po kilku chwilach, kiedy odwrócił się do mnie, rzekłem, zwracając teraz przeciw niemu wyrażenie, którego użył w cieśninie Torreadzkiej.

— Wypadek — kapitanie?

— Nie, panie — odpowiedział — tym razem nieszczęście.

— Ważne?

— Może.

— Czy niebezpieczeństwo jest nagłe?

— Nie.

— »Nautilus« osiadł na dnie?

— Tak.

— A to z powodu?

— Kaprysu natury, nie z nieświadomości ludzi. Ani jeden błąd nie został popełniony w naszych obrotach.

— Czy mógłbym wiedzieć, panie — zapytałem — jaka jest przyczyna tej przygody.

— Ogromna bryła, cała góra lodu się przewróciła — odrzekł. — Gdy lodowce podmywane są od spodu przez cieplejsze wody, lub podrywane przez częste potrącenia, środek ich ciężkości zmienia się. Wówczas zupełnie się przechylają, wywracają koziołka. Oto co się teraz przytrafiło. Jedna z takich brył, wywracając się, uderzyła w »Nautilusa«, płynącego pod wodą. Potem wślizgnąwszy się pod pudło, unosząc go w górę z nieprzepartą siłą, wprowadziła na miększe pokłady, gdzie obecnie leży na prawym boku.

— A czy nie można oswobodzić »Nautilusa«, wypróżniając rezerwoary, by tym sposobem przywrócić mu równowagę?

— To właśnie w tej chwili się robi. Możesz pan słyszeć działanie pomp. Spojrzyj pan na wskazówkę, widać na niej, że »Nautilus« się podnosi, ale razem z nim podnosi się lodowiec — i jeżeli jaka przeszkoda nie powstrzyma jego ruchu do góry, to położenie nasze się nie zmieni.

W istocie »Nautilus« pochylony był ciągle na prawy bok. Wyprostowałby się bez wątpienia, gdyby lodowiec sam się zatrzymał. W takim razie jednak, kto wie, czybyśmy nie uderzyli o spodnią powierzchnię lodowiska; czybyśmy nie zostali straszliwie przygnieceni pomiędzy dwoma lodami?

Rozmyślałem nad wszelkiemi następstwami tego położenia. Kapitan Nemo nie przestawał obserwować przyrządów, »Nautilus« od chwili uderzenia lodowca podniósł się blisko na sto pięćdziesiąt stóp, ale zachowywał ciągle jednakowe nachylenie.

Nagle lekki ruch dał się uczuć w pudle. Oczywiście »Nautilus« zwolna się prostował. Ściany zbliżały się do pionu. Żaden z nas nie wyrzekł słowa. Z bijącem sercem uważaliśmy, czuliśmy to podnoszenie się statku. Podłoga wracała pod naszemi stopami do poziomu. Upłynęło tak dziesięć minut.

— Wyprostowaliśmy się wreszcie — zawołałem.

— Tak — rzekł kapitan Nemo — zwracając się ku drzwiom salonu.

— Lecz czy będziemy mogli płynąć?

— Zapewne — odpowiedział — gdyż rezerwoary nie są jeszcze wypróżnione, a po zupełnem ich wypróżnieniu »Nautilus« powinien wrócić na powierzchnię morza.

Kapitan wyszedł, i wkrótce poznałem, że powstrzymano z jego rozkazu podnoszenie się »Nautilusa« do góry. W rzeczy samej byłby niedługo uderzył o spód lodowiska; lepiej więc było utrzymać go między dwoma lodami.

— Ślicznieśmy się z tego wywinęli! — rzekł Konsel.

— Tak — odparłem. — Mogliśmy zostać zgnieceni, lub co najmniej uwięzieni przez lody. Wówczas z braku powietrza do oddychania.... Tak, ślicznie wywinęliśmy się!

— Jeżeli to tylko koniec — mruknął Ned-Land.

Nie chciałem zaczynać z Kanadyjczykiem bezużytecznego sporu, i nic mu nie odpowiedziałem. Zresztą w tejże chwili otworzyły się klapy i światło z zewnątrz rozlało się po salonie przez odsłonięte szyby.

Byliśmy, jak powiedziałem już, wśród pełnej głębi. Ale po obu bokach »Nautilusa« sterczała, w odległości dziesięciu metrów, olśniewająca ściana lodu. »Nautilus« został tedy uwięziony w istnym tunelu lodowym, szerokim około dwudziestu metrów, i wypełnionym spokojną wodą. Łatwo mu więc było wyjść z niego, posuwając się albo naprzód albo w tył, i odzyskać o kilkaset metrów poniżej wolne przejście pod lodowiskiem.

Swietlny sufit zagasł, a jednak salon oświetlony był silną jasnością; potężny bowiem odblask ścian lodowych odbijał gwałtownie snopy światła pochodzące z latarni statku.

— Jakże to piękne! jak piękne — zawołał Konsel.

— Tak! — rzekłem — cudowny to widok. Nieprawdaż, Nedzie?

— O tak! do tysiąca dyabłów! — krzyknął Ned-Land. — To wspaniałe! Wściekam się ze złości, że muszę to przyznać. Nie widziano nigdy nic podobnego. Ale to widowisko może nas drogo kosztować — i jeżeli mam wszystko powiedzieć, zdaje mi się, że widzimy tu rzeczy, które Bóg chciał zakryć przed okiem człowieka.

Ned miał słuszność; to było za piękne. Nagle odwróciłem się na krzyk Konsela.

— Co się stało? — zapytałem.

— Niech pan zamknie oczy! Niech pan nie patrzy!

Mówiąc to — Konsel przyciskał silnie dłonią powieki.



... Ludzie nadaremnie kopią już lód.

— Ale co ci jest, mój chłopcze?

— Jestem olśniony, oślepiony.!

Oczy moje zwróciły się mimowolnie na szybę, ale nie mogłem znieść pałającego w niej ognia.

Zrozumiałem, co zaszło. »Nautilus« zaczął posuwać się z wielką szybkością. Wszystkie spokojne blaski ścian lodowych zmieniły się wówczas w płonące progi. Ognie tych niezliczonych dyamentów zlewały się w jedno. »Nautilus«, pędzony swą śrubą, płynął pośród błyskawic.

Wtedy klapy na szybach salonu zamknęły się. Trzymaliśmy wciąż dłonie na oczach. Potrzeba było pewnego czasu, by uśmierzyć wzburzenie naszego wzroku. Nakoniec opuściliśmy ręce.

Była wówczas godzina piąta rano. W tej chwili na przodzie »Nautilusa« nastąpiło nowe wstrząśnienie. Domyśliłem się, że ostroga jego musiała uderzyć o bryłę lodu, skutkiem zapewne jakiegoś fałszywego obrotu, albowiem ten tunel podmorski, zawalony krami, niełatwy był do żeglugi. Sądziłem więc, że kapitan Nemo, zmieniając swoją drogę, okrąży owe zawady, albo przesuwać się będzie krętemi przesmykami tunelu. W każdym razie pochód nasz naprzód nie mógł być całkiem zatamowany. Tymczasem, wbrew memu spodziewaniu, »Nautilus« zrobił silny ruch wsteczny.

— Cofamy się? — rzekł Konsel.

— Tak — odpowiedziałem; — zapewne z tej strony tunel jest bez wyjścia.

— A wtedy?

— Wtedy — rzekłem — zwrot będzie bardzo prosty. Cofniemy się, i wypłyniemy przez otwór południowy.

Mówiąc to, starałem się okazać większą pewność, niż miałem w istocie. Wszakże wsteczny ruch »Nautilus« stawał się coraz szybszy i w tym kierunku unosił nas z wielką prędkością.

— Będzie stąd opóźnienienie — rzekł Ned.

— Co znaczy parę godzin mniej lub więcej, byleby tylko się wydostać.

Przechadzałem się przez kilka minut z salonu do biblioteki. Towarzysze moi siedzieli, milcząc. Po chwili, rzuciwszy się na sofę, wziąłem do ręki książkę i przebiegałem ją machinalnie oczyma. Ned i Konsel wstali, by odejść.

— Zostańcie przyjaciele — rzekłem, zatrzymując ich. — Bądźmy z sobą razem, dopóki nie wyjdziemy z tego wąwozu.

— Jak się im podoba — odpowiedział Konsel.

Upłynęło kilka godzin. Spoglądałem często na narzędzia wiszące na ścianach salonu. Wskazywały, »Nautilus« trzymał się w jednostajnej głębokości, trzystu metrów; że się kierował ciągle ku południowi, suwał się po dwadzieścia mil na godzinę, szybkość niezmierna w tak ciasnej przestrzeni.

O godzinie ósmej minucie dwudziestej piątej nastąpiło powtórne wstrząśnienie, tym razem z tyłu statku. Towarzysze moi zbliżyli się do mnie. Pochwyciłem Konsela za rękę. Pytaliśmy się wzajem spojrzeniem, nierównie wymowniej, niż gdyby myśli nasze wypowiadały wyrazy.

W tej chwili kapitan wszedł do salonu. Postąpiliśmy ku niemu.

— Droga jest zawaloną od południa? — zapytałem.

— Tak, panie, lodowiec, wywracając się, zatamował wszelkie wyjście. Ludzie nadaremnie kopią już lód.

— Jesteśmy zaparci?

— Tak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obrady Sejmu.

W ubiegłym tygodniu odbywały się w dalszym ciągu obrady Sejmu nad reformą wyborczą. Niektóre stronnictwa uporne już zaczynają powoli rozumieć, że reforma wyborcza może przyjść do skutku tylko za zgodą wszystkich stronnictw i że nie można swej woli innym stronnictwom narzucać i dlatego skłaniają się bardziej do ugody. Dzienniki donoszą, że już w wielu punktach reformy wyborczej przyszło do zupełnej zgody, z czego się cały kraj powinien radować. I tak wszystkie kluby poselskie zgodziły się na to, aby kurya większej własności miała 44 posłów, dalej aby kurya wiejska, do której należą przedewszystkiem wieśniacy, otrzymała 80 mandatów. Głosowanie w tej kuryi ma być powszechne, bezpośrednie i tajne, z pluralnością podatkową, tak, że włościanie, którzy płacą podatek, będą mieli dwa głosy, zaś ci, którzy nie płacą żadnego podatku (bezpośredniego) jeden głos. Dalej zgodziły się kluby, aby kurya miejska otrzymała 34 mandaty. Głosować będą w niej ci sami wyborcy co dotąd, tylko nie jawnie lecz tajnie. Prócz tego w miastach będzie utworzona kurya powszechna, posiadająca 10 mandatów, w której głosować będą wszyscy wyborcy. Izby handlowe będą posiadały 3 mandaty, Izby rękodzielnicze 2, zaś wielki przemysł i górnictwo 4 mandaty. Pozostaje jeszcze do załatwienia sprawa mandatów dla Rusinów, zabezpieczenie mniejszości narodowych we wschodniej części kraju i sprawa weta kuryalnego, które polega na tem, że w przyszłości reforma wyborcza nie będzie mogła być zmieniona, gdyby się temu choćby jedna kurya sprzeciwiła.

Z tego widać, że porozumienie między posłami polskimi coraz lepsze, tylko posłowie ruscy opierają się tej reformie, jak barany, mimo że ich polscy posłowie ciągną jakby za rogi do zgody, a ci czasem nawet ryczą, beczą i nawet chcą bóść, jak to pisaliśmy zeszłego tygodnia. Na następnem posiedzeniu po tej kociej muzyce posłowie ruscy wnosili protesty do marszałka i Sejmu, że wtenczas, kiedy oni ryczeli, posłowie polscy obradowali spokojnie i uchwalili wśród tego wiele ważnych ustaw. Chcieli koniecznie udowodnić, że ryczeli głośniej niż stado krów, które mało mleka dają i że przy ich rykach nie można było nic słyszeć, ani też obradować i że uchwały są nieważne. Marszałek i posłowie polscy dali jednak posłom ruskim do zrozumienia, że, mimo iż posłowie ruscy ryczeli i beczeli głośno, to jednak żaden poseł ruski nie potrafi tak głośno ryczeć, jak niedojna krowa i że wtenczas nawet, gdyby posłowie ruscy beczeli i ryczeli, jak stado baranów lub krów, to przecież ludzie, gdy głośno mówią, i chcą się porozumieć, to się przecież przy tem porozumią.

Tem niepowodzeniem jednak posłowie ruscy, widać kiepskie i tępe głowy, a przytem oporne i złośliwe, niczego się nie nauczyli, bo zapowiadają, że znów rozpoczną wrzaski i ryczenie, gdy im Polacy nie uchwalą takiej reformy wyborczej, jakiej żądają. Posłowie polscy starają się teraz wszelkimi siłami nakłonić ich do zgody, wiedząc, że lepsza chuda zgoda, niż tłusty proces, lecz gdy Rusini będą robili awantury i wrzaski, które przeszkadzają w obradach i obniżają powagę Sejmu, wtenczas jedną ławą pójdą przeciw posłom ruskim i zerwą z nimi narady, dopóki się Rusini nie opamiętają. Ta reforma, której żądają posłowie ruscy, byłaby dla nas wielką krzywdą, a przedewszystkiem krzywdziłaby tych Polaków, którzy zamieszkują wschodnią Galicyę, bo wszyscy, ile ich tam jest, poszliby pod przemoc Rusinów, którzyby ich zniszczyli i siłą wynarodowili.

Z TYGODNIA.

Cukier potaniał. Dzieląc się z Czytelnikami tą dobrą wiadomością, podajemy tu ceny, jakie obecnie płaci się w Krakowie:

		Dawniej	Obecnie
Cukier w głowach	1 klg.	86 hal.	76 hal.
„ na wagę	1 „	88 „	80 „
„ grysikowy	1 „	88 „	80 „
„ kostkowy	1 „	92 „	82 „
Mączka	1 „	92 „	82 „
Kostki krystaliczne	1 „	96 „	84 „
Karton 5-kilowy		4·40 kor.	4·— kor.
„ 5-kil. krystaliczny		4·60 „	4·20 „
„ 5-kil. przeworski		4·70 „	4·30 „

Jak rozdano karczmy? *Gazeta lwowska*, urzędowy organ namiestnictwa, ogłasza, jak rozdano koncesye szynkarskie.

Według wykazów, przedłożonych przez starostwa, nie udzielono żadnej koncesyi w 1445 gminach z powodu, że gmina zasadniczo przeciw temu się oświadczyła, w 385 gminach dlatego, że kandydaci albo nie odpowiadali warunkom ustawy, albo też nie podali odpowiedniego lokalu, nakoniec w 123 gminach dlatego, że nikt o koncesyę się nie podał.

Udzielono natomiast wogóle 9.687 koncesyi w 4.819 gminach, a w szczególności: 8.900 koncesyi na wyszyk palonych napojów spirytusowych i piwa. 133 koncesyi tylko na wyszynk piwa, 640 koncesyi tylko na drobną sprzedaż palonych napojów spirytusowych, a 14 koncesyi tylko na wyszynk lub drobną sprzedaż miodu. Z udzielonych wogóle 9.687 koncesyi otrzymało koncesye:

1) 6.157 obecnych szynkarzy i szynkarek;
2) 866 obecnych hotelarzy, restauratorów, cukierników i kawiarzy;
3) 78 właścicieli browarów;
4) 157 właścicieli gorzelni (drobna sprzedaż);
5) 6 gmin w uwzględnieniu szczególnych okoliczności;
6) 86 Stowarzyszeń, głównie kasyn, prowadzących restauracye z ograniczeniem do członków;
7) 49 właścicieli dóbr, nie licząc wymienionych pod 3) i 4);
8) 637 kramarzy i kupców, którzy obecnie nie posiadają szynku;
9) 1268 włościan rolników;
10) 383 innych osób, a mianowicie byłych szynkarzy propinacyjnych, pomocników szynkarskich lub kramarskich, drobnych rękodzielników (masarzy) i t. p.

Obecnie dalsza akcya polega na rozstrzygnięciu kilkunastu tysięcy rekursów, wniesionych do namiestnictwa bądź przez gminy lub stowarzyszenia szynkarskie, wbrew których opinii starostwo nadało koncesyę, bądź też przez kandydatów, których podań starostwa nie uwzględniły. Po dokonaniu tej czynności starostwa ogłoszą konkurs na udzielenie koncesyi w tych gminach, w których żaden koncesyi nie otrzymał, lub w których o koncesyę nikt się nie podał.

Za co karzą Prusacy? Kapłan polski, proboszcz Gryglewicz z Slesina pod Bydgoszczą, skazany został na kwartał więzienia za kazanie, które wygłosił w kościele w drugie święto wielkanocne i które następnie ogłosił w książce »Nowa biblioteka kaznodziejska«. Co tam w owem kazaniu było karygodnego? Oto ks. Gryglewicz porównał w takowem położenie narodu polskiego z ukrzyżowanym Chrystusem. Pomiędzy innemi powiedział:

»Po dniach strasznej męki i naigrawania nastąpiły dni chwały i zmartwychwstania. Naród polski taksamo rozdarty został i, niby na krzyżu rozcią-

gnięty, narażony jest na srogi ucisk. Lud polski doznaje prześladowania, nawet kawałka chleba mu zazdroszczą, a do tego wszystkiego grozi mu wywłaszczenie z świętej polskiej ziemi. Także biedna dziatwa polska cierpi na tem, że w obcej mowie uczyć się musi prawdy wiary świętej i dlatego obojętnieje dla niej. Nie rozpaczajmy jednak, bo i dla nas dzień zmartwychwstania nastąpi, gdyż niepodobna przypuszczać, żeby ucisk miał trwać wiecznie. Trzeba nam tylko cierpliwości i wytrwałości, cnót obywatelskich i pracy nad dziećmi i około dorobku. Wtenczas doczekamy się dnia zmartwychwstania i wesołego Alleluja!«

Za te słowa kapłan polski spędzi ćwierć roku w otoczeniu zbrodniarzy, którzy podpalali, kradli i mordowali. Taka jest sprawiedliwość pruska!

Pragnienia hakatystów. Jak wiemy, przed dwoma laty uchwalono w Prusiech barbarzyńską ustawę, dozwalającą rządowi na wywłaszczanie Polaków-rolników z ziemi ich ojców. Ale przeprowadziwszy takie dzikie prawo, rząd pruski nie kwapi się jakoś z jego wykonaniem. Widocznie wstydzi się takiego gwałtu na narodzie polskim, przed innemi narodami, które bardzo surowo ten zamiar osądziły. Boli to hakatystów i chcieliby, aby rząd jak najprędzej zabrał się do wywłaszczania. Nie mogąc jakoś namówić do tego ministrów i urzędników pruskich, starając się w ten sposób ich zmusić, że od czasu do czasu, a często, piszą w gazetach swoich, że nibyto na pewno ma być wywłaszczona ta czy owa posiadłość polska. Świeżo zrobiła to »National-Zeitung« w Berlinie i wywołała wielki hałas. Daj Boże, aby ta wieść okazała się równie nieprawdziwą, jak poprzednie, i aby nasi rodacy w Wielkopolsce przynajmniej na roli swojej mogli spokojnie żyć i bronić się przed nawałą niemiecką.

Car w Berlinie. Mikołaj II, który bawi obecnie pod Darmstadem w Niemczech wraz z całą rodziną, postanowił odwiedzić cesarza niemieckiego, Wilhelma. Car przybędzie do Poczdamu pod Berlinem prawdopodobnie 5 listopada. Cesarz Wilhelm powita go na stacyi Wildpark. Wizyta cara, mająca charakter ściśle familijny, potrwa tylko jeden dzień. Do samego Berlina car pod żadnym warunkiem nie przyjedzie. Koło Poczdamu gromadzi się masa wojska, policyi i żandarmeryi.

Pożyczka turecka. Rząd francuski chcąc wymódz na Turcyi różne ustępstwa, zabronił bankom francuskim udzielania pożyczki. Tymczasem Turcya zwróciła się do Niemiec i Austryi i tam pieniądze dostała. Pożyczka wynosić będzie 11 milionów funtów tureckich. Ponieważ obie strony godzą się na przedłożone warunki, spodziewać się należy szybkiego ukończenia układów. Francyi ogromnie się to nie spodobało i próbuje jeszcze robić trudności. Mogą być kłopoty z tej sprawy w polityce.

Zbrojenia na morzu. Rząd angielski postanowił w roku 1911 wybudować pięć nowych ogromnych okrętów wojennych i powiększyć wojsko morskie o 10.000 marynarzy.

Równocześnie daleki sprzymierzeniec Anglii, Japonia, zbroi się także. Przed kilkoma dniami prezes ministrów japońskich, markiz Katsura, oświadczył na bankiecie kupców, że jedyną nowością w budżecie najbliższym będzie przeznaczenie 300 milionów koron na wzmocnienie floty.

Koszt przyłączenia Korei i pokrycia szkód z powodu powodzi nie będzie wymagał większych wydatków, tak że zaciągnięcie pożyczki nie jest potrzebne.

KRONIKA.

Z numerem dzisiejszym, jak to sami Czytelnicy zauważą, powiększamy objętość „Roli“, przenosząc ogłoszenia na kolorową okładkę. Wskutek tego przybyło znacznie miejsca na artykuły i kronikę. Mamy nadzieję, że Czytelnicy nasi przyjmą to rozszerzenie z uznaniem i będą starali się rozpowszechniać „Rolę“ w jak najszerszych kołach swoich znajomych.

Kursa nauki dla kierowników i kasyerów Spółek systemu Raiffeisena. Z Biura Patronatu dla Spółek Oszczędności i pożyczek przy Wydziale krajowym we Lwowie otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

Praktyczne kursa nauki dla kierowników i kasyerów Spółek oszczędności i pożyczek (systemu Raiffeisena) urządza Wydział krajowy w następujących miejscowościach:

1) W Krakowie w czasie od 28 listopada do 10 grudnia b. r.

2) W Rzeszowie od 5 do 17 grudnia b. r.

3) We Lwowie w czasie od 28 listopada do 10 grudnia b. r.

4) W Stanisławowie w czasie od 5 do 17 grudnia b. r.

Kandydaci winni wnosić za pośrednictwem swych Spółek nieostęplowane podania do Biura Patronatu w Wydziale krajowym najpóźniej do dnia 15 listopada b. r.

Krajowy Związek ochotniczych straży pożarnych. Pod przewodnictwem dra Zgórskiego odbyło się we Lwowie IX posiedzenie Rady zawiadowczej, poprzedzone posiedzeniami komisyi technicznej i komitetu redakcyjnego tegoż Związku. Rozpoczęło się ono pośmiertnem wspomnieniem, z powodu zgonu śp. Leopolda Biegi i śp. Franciszka Meissnera.

Pięć jest głównych punktów działalności Krajowego Związku ochotn. straży pożarnych, a mianowicie: w kierunku organizacyi nowych straży pożarnych, ich lustracyi, urządzania kursów pożarnictwa, wydawnictw instrukcyjnych, niesienia pomocy materyalnej strażom związkowym. Przy pomocy Związków okręgowych i Zarządu Głównego Kółek rolniczych zorganizowano 86 nowych straży pożarnych związkowych, przeprowadzono 79 lustracyi straży pożarnych związkowych, przeprowadzono jeden kurs krajowy w Stanisławowie, dwa kursy w Krakowie i we Lwowie dla lustratorów i instruktorów straży pożarnych przy Kółkach rolniczych, jeden kurs z absolwentami Seminaryum naucz. we Lwowie, jeden kurs z uczestnikami kursu dla pisarzy gminnych przy Wydziale krajowym i 7 kursów powiatowych; wydawano co miesiąc czasopismo »Przewodnik pożarniczy«, wydano także kalendarz strażacki, trzy zeszyty »Biblioteki strażackiej« i nowy podręcznik z albumem p. t. »Przyrządy, przybory i ćwiczenia strażackie«. Podręcznik ten zalecony został przez Wydział krajowy i wedle niego odbywać się będą egzaminy na instruktorów straży pożarnych. Odnośne postanowienie o egzaminach wydał Wydział krajowy w porozumieniu z namiestnictwem, a egzaminatorem zamianował p. Antoniego Szczerbowskiego.

Tytułem zapomóg uszkodzonym w służbie strażackiej członkom ochotn. straży pożarnych, tudzież spadkobiercom po zmarłych strażakach, wypłacono 4824 K, a tytułem zapomóg w przyrządach pożarnych 16655 K. Kursa lustracyjne i wydawnictwa kosztowały 9114 K.

Rada zawiadowcza zatwierdziła honorowe odznaki za długoletnią, nieprzerwaną, wierną i walną służbę strażacką członkom ochotn. straży pożarnych w Sanoku, Kosowie, Kętach, Żmigrodzie i w Krośnie, a także postanowiła urządzić w r. 1911 w Stanisławowie, podczas walnego zjazdu wielkie zbiorowe ćwiczenia strażackie komendantem tych ćwiczeń zamianować p. Józefa Wierzejskiego w Stanisławowie, a układ programu ćwiczeń powierzyć sekretarzowi Szczerbowskiemu, wybrać referentem uchwał komisyi technicznej tejże przewodniczącego p. W. Włodzimirskiego, a przewodniczącym komitetu redakcyjnego p. Antoniego Bahra, uzupełnić komisyę techniczną wyborem pp. dr. Bol. Kielanowskiego, Al. Broniewskiego, J. Marszałkiewicza, J. Wierzejskiego i J. Dąbskiego, wydać słownik strażacki i mapę Galicyi z uwzględnieniem związków okręgowych i siedzib straży związkowych, zbadać przez członków komisyi technicznej skład sikawek M. Peterseima w Krakowie i wydać fachową opinię, odnieść się do Sejmu o ustawę, nakładającą na towarzystwa asekuracyjne obowiązek płacenia 2 prc. podatku na rzecz obrony pożarnej w kraju, do Zjazdu techniczno-balneologicznego podnieść się z projektem Szczerbowskiego o zakładanie w zdrojowiskach i uzdrowiskach zakładowych (ze służby zakładowej) straży pożarnych.

Ostrą zimę zapowiadają badacze natury, a sąd swój opierają na zachowaniu się ptaków wędrownych oraz na kierunku gór lodowych. Prócz tego zima tegoroczna ma być długotrwałą.

Żydzi lepsi od socyalistów. W szynku M. Lautera przy ulicy Strycharskiej w Przemyślu, podczas pijatyki pozwolił sobie blacharz kolejowy, socyalista, Edward Horwat na wstrętne piosenki, ubliżające czci Matki Boskiej Częstochowskiej. Otoczenie szynkowe, złożone z podobnych osobników niestety nibyto katolików, ale poprawdzie socyalistów, a zatem wrogów wiary, te publiczne zniewagi swego kolegi przyjmowało ze śmiechem i wielką uciechą, tak, że obecni żydzi szynkarze byli zgorszeni. Pociągnięty kolejarz do odpowiedzialności zasłaniał się pijaństwem, ale świadkowie jednak stwierdzili, że był zupełnie trzeźwy; wobec tego aresztowano go pod zarzutem obrazy religii i odstawiono do sądu. Tam otrzyma pewnie to, na co zasłużył.

Smutne echa zbrodni jasnogórskich. Wprost potworne rzeczy wypisują pisma niemieckie na temat zbrodni jasnogórskiej. Ostatnio jeden dziennik wiedeński oznajmił, że w podziemiach klasztoru częstochowskiego odkryto 3 trupy i że to są osoby pomordowane przez zakonników. To przecież brzmi bardzo senzacyjnie! Tak to wstrętnie piszą o zbrodni jasnogórskiej, obcy i to wrogowie, którzy nie chcą zrozumieć, że i w zakonie może być jednostka zła i przewrotna, i że wielką winę w tej bolesnej dla całego naszego narodu sprawie, ponosi rząd rosyjski, który nie pozwalając władzy kościelnej nadzorować klasztoru, starał się usilnie o to, by do zakonu wnosić zgniliznę i demoralizacyę.

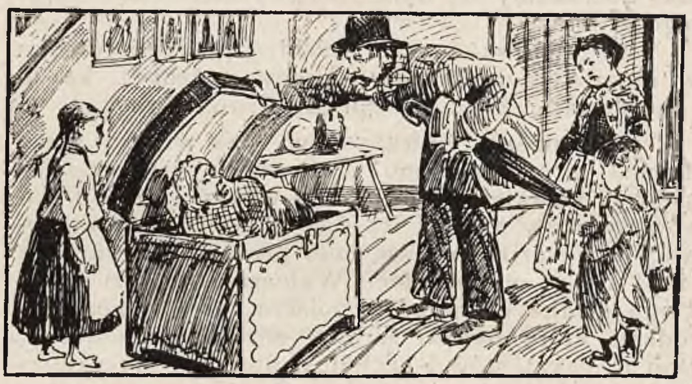
Ale zaiste o wiele gorsi są ci, którzy ku radości wroga sprawę ohydnej zbrodni chcą naciągnąć dla swych celów partyjnych, którzy kalają swoje własne gniazdo. Mamy tu na myśli tak zwanych »ludowców« warszawskich i socyalistów.

Dobrowolna śmierć głodowa. W miejscowości Rozdzielin pod Lublinem 48-letni gospodarz Widzisz tak się zmartwił nieszczęśliwem kupnem posiadłości, że postanowił umrzeć śmiercią głodową. Narwaniec przez 12 dni wzbraniał się przyjmować pożywienie, nawet w szpitalu, gdzie go wreszcie umieszczono. Nic nie jadłszy, musiał wreszcie zemrzeć.

Nieudane schronienie. Niedaleko Bydgoszczy, w Wielkopolsce, pewien handlarz bydła sprzedał jednej z tamtejszych włościanek kilka prosiąt, ale zaraz za nie pieniędzy nie otrzymał. Po pewnym czasie zjawił się po pieniądze za nie, lecz w domu zobaczył tylko same dzieci. Na zapytanie: — »Gdzie matka? — odpowiedziały dzieci, że wyszła w pole do kopania ziemniaków.

— Ha! — powiedział — w takim razie muszę zaczekać.

Rzekłszy to, usiadł na dużym kufrze.



Przesiedziawszy chwilę, uczuł nagle, że w kufrze coś się rusza. Podniósł więc wieko i ku wielkiej swej radości zobaczył wyłażącą z niego ową włościankę. Kobieta bowiem, zobaczywszy kupca, idącego po pieniądze, skryła się do kufra, a dzieciom kazała powiedzieć, że jej niema w domu. W kufrze jednak zaczynało jej brakować powietrza, zmuszona więc była wyjść z niego i zdradzić się ze swem kłamstwem. Niedosyć, że musiała zapłacić pieniądze, ale jeszcze w całej okolicy śmieją się z niej wszyscy.

Sąd doraźny. O strasznem zajściu donoszą do gazet berlińskich z Dąbrowy, miasteczka, położonego na pograniczu Królestwa Polskiego i Prus. Dziewięciu wyrostków, niewiadomo z jakiej przyczyny, zburzyło miejscową kaplicę, co wśród ludności takie wywołało oburzenie, że wykonano na nich sąd doraźny. Wszyscy dziewięciu padli nieżywi pod razami wzburzonego ludu. Między ludnością fabrycznych okolic w Królestwie, pod wpływem agitacyi socyalistycznej panuje wielkie zdziczenie i niereligijność — to też nawet na zburzenie kaplicy mogły się tamtejsze chłopaki targnąć!

Kara śmierci w Austryi. W r. 1899 skazanych zostało na śmierć w Austryi 69 osób, z których 4 stracono; w roku 1900 odsądzono 72, stracono 4, w r. 1901 odsądzono 64, stracono 4, w r. 1902 odsądzono 54, stracono 2, w r. 1903 odsądzono 64, stracono 3, w r. 1904 odsądzono 49, w r. 1905 43, w r. 1906 54, w r. 1907 46, a w r. 1908 45, a nie stracono w tych latach ani jednego; w r. 1909 odsądzono 33 a stracono 1. Jak wiadomo, wykonanie wyroku śmierci zależy od cesarza, który może każdy wyrok śmierci znieść lub zamienić na więzienie. Z podanych powyżej cyfr wynika, że nasz monarcha jest bardzo łagodny i wszystkich ułaskawia, a zatwierdza wyroki tylko na zatwardziałych zbrodniarzy. W swoim roku jubileuszowym, 1908, ułaskawił wszystkich skazańców.

W Alpach tyrolskich zdarzył się niedawno wypadek, który o mało co nie przyprawił o śmierć dwóch ludzi. Mianowicie mieszkaniec wsi Spuller, Adam Strolz, mieszkając w środku wsi, na spodzie doliny nad potokiem, wysłał rano chłopaka z krowami na paszę w góry. Wieczorem chłopak przyszedł z powrotem na wieczerzę, ale powiedział, że najlepsza i największa młoda krowa zabiła się, spadł-

szy ze skały. Gospodarz postanowił zatem wybrać się nazajutrz w góry, aby odzyskać przynajmniej mięso zabitego pięknego zwierzęcia i jego skórę. W tym celu wstał wcześnie rano, wziął wielkie sanie, jakiemi zwozi się drzewo i inne ciężary z gór, z miejsc w których żadnych dróg niema, zaprzągł konia, aby ciągnął sanie, a do pomocy przy sprowadzaniu ciężaru z góry, zaprosił dwóch sąsiadów. Wyruszyli wcześnie, przyszli na górę, odnaleźli ciało zwierzęcia, przywiązali postronkami do sani i zaczęli spuszczać na dół, przytrzymując, aby sanie swoim własnym ciężarem nie spadły na dół po spadzistem zboczu góry. Z początku szło dobrze, ale wreszcie, gdy dostali się na najgorsze miejsce, sanie runęły na dół razem z krową i porwały za sobą dwóch gospodarzy, którzy szli przodem i regulowali spuszczanie sań. Lecieli tak na dół, aż wreszcie na jakiemś równiejszem miejscu sanie się zatrzymały.



Nadbiegł Strolz i chłopak prowadzący z tyłu konie i ujrzeli obu ludzi, leżących bez przytomności obok ładunku, oblanych krwią, nie dających znaku życia. Byli pewni, że obaj pozabijali się o kamienie i skały, spadając z tak daleka w bardzo głęboką przepaść. Gospodarz posłał chłopaka z koniem na dół do wsi po pomoc a sam próbował cucić, ratować poranionych; ten który się ruszał, przyszedł do siebie i jęczał tylko, okropnie pokaleczony, ale drugi leżał bez ducha. Dopiero po dwóch godzinach przyszli ludzie ze wsi, znalazł się nawet lekarz. Ten zaraz poznał, że obaj żyją, nawet ten, który pozornie zdawał się umarłym. Zniesiono ich na dół i tam odesłano do pobliskiego szpitala. Obrazek nasz przedstawia chwilę, jak sanie zaczynają spadać. Wyrysował go malarz, który dobrze znał miejsce wypadku i wyobraził sobie w myśli, jak to musiało wyglądać na prawdę.

Gdzie jest najwięcej samobójstw? Najmniej samobójców dostarczają Polacy i wogóle Słowianie. Do takich rezultatów dochodzi lekarz monachijski Dr. Gaupp, w statystyce opracowanej na podstawie materyałów z całej Europy.

W ostatnich dziesięciu latach zauważono ciągłe wzrastanie liczby samobójstw i to we wszystkich państwach kulturalnych, zwłaszcza we Francyi, Anglii, Niemczech i Japonii. Jedynie w Szwecyi i Norwegii liczba samobójstw się zmniejsza, głównie dzięki skutecznemu zwalczaniu pijaństwa w tych krajach.

W Niemczech dostarczają państewka saskie i północne Niemcy najwięcej samobójstw. W Prusach figuruje Szlezwig i Holsztyn na pierwszem, a W. Ks. Poznańskie na ostatniem miejscu. Gaupp stwierdza, że liczba samobójstw wzrasta równomiernie z podrożeniem artykułów spożywczych, przesileniami ekonomicznemi, bankructwami banków itp.

Badając samobójstwa odnośnie do ras, dowodzi Dr. Gaupp, że najsilniejszą skłonność do samobójstw okazują szczepy germańskie. Rzadszemi są samobójstwa u narodów romańskich i celtyckich, a najrzadszemi u Słowian.

Częściej pozbawiają się życia mężczyźni, niż kobiety. Że wzrastającym wiekiem mnoży się także cyfra samobójców, a zmniejsza się pomiędzy 70 a 80 rokiem. W małżeństwach zachodzą samobójstwa rzadziej, niż wśród żyjących samotnie.

Najczęstszemi przyczynami samobójstw były: obłęd, zwyrodnienie i pijaństwo. Wobec tych trzech powodów, inne pozostaną daleko wstecz.

Straszna burza szalała we Włoszech południowych i wyrządziła wielkie szkody. Orkan szalał całą noc i cały dzień. Wszystkie niżej położone miasta i miasteczka są zalane. Podobno mnóstwo osób potonęło. W samem Torre del Grecco pod Neapolem miało zginąć 60 osób. Wskutek powodzi runęło wiele domów i w gruzach ich zginęło mnóstwo osób. Koleje żelazne są zniszczone, mosty pozrywane. Nadejście burzy było tak raptowne, że w Cassamiciola wiele osób kąpało się w morzu i z pomiędzy nich niektóre nie zdołały już dotrzeć do brzegu, bo fale je porwały i utonęły. Cała wieś Cetara, leżąca nad morzem jest zniszczona.

Między niebem a ziemią. W miasteczku francuskiem Truwil, pewnego dnia ożywiła się dzielnica, w której wznosi się kościół z wieżą wysoką. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że z wieży kościelnej spadł robotnik i zawisł między niebem a ziemią. Ze wszystkich stron miasteczka zbiegli się mieszkańcy na plac kościelny, by oglądać z przerażeniem człowieka wiszącego na linie.



Widok był istotnie groźny. Człowiek ów wisiał zaczepiony o lewą nogę, głową w dół. I każdej chwili groziło mu niebezpieczeństwo upadku na bruk i roztrzaskanie się na miejscu. Nieszczęśliwym tym był czeladnik blacharski Damortin, któremu polecił majster naprawienie wieży kościelnej. Przy pracy jednak stracił równowagę i spadł.

Wreszcie nieszczęśliwemu przybył z pomocą robotnik Boliward, który przewiązał linę wiszącemu około tułowia i wyciągnął go na wieżę. Tłumy ludzi z zapartym oddechem patrzały na ten groźny widok, który przedstawia nasza rycina. Gdy obaj zeszli, ludzie okrzykami radości witali ocalonego i pochwalali dzielnego ratownika.

Żona na zielono pomalowana. Przed sądem policyjnym w Blackburnie, w Anglii, stanął niejaki Ramsbotton, oskarżony o znęcanie się nad piękną i młodą żoną. Zazdrosny ten małżonek, ujrzawszy żonę, malującą na biało twarz przed wyjściem na miasto, wpadł w gniew taki, że chwyciwszy pędzel, umaczany w zielonej farbie olejnej, pomalował nim biednej kobiecie całą twarz i szyję na zielono. Zapalczywego małżonka skazano na karę pieniężną, prócz tego zaś pani Ramsbotton wszczęła sprawę o rozwód. Nadaremnie bronił się, że skoro jej samej wolno smarować się jedną farbą, to wolno i jemu użyć odmiennej.

Spalona cholera. Ciemnota i nieuctwo, oto rozsadniki wszystkiego złego. Wiadomo przecież dobrze, że cholera rozszerza się za pomocą zarazka, który człowiek z pokarmami lub napojami spożywa. Nie wiedzą jednak o tem chłopi rosyjscy, wśród których panuje ciemnota i nieuctwo. Wyobrażają sobie, że cholera to jakiś człowiek, który, chodząc od wsi do wsi, rozsiewa śmierć naokoło siebie. Najczęściej cholerę wyobrażają sobie w postaci kobiety.

Zdarzyło się w pewnej miejscowości w głębokiej Rosyi, że do jednej chaty przyszła obca dziewczyna i prosiła o nocleg. Choć niechętnie jednak zgodzono się na przenocowanie nieznajomej. Aliści po niedługim czasie gospodarz tej chaty począł się wić w bolach a obecni orzekli, że to nic innego, tylko »straszna choroba« a obca dziewczyna, to nikt inny tylko sama cholera.



Zebrała się starszyzna wioskowa i uchwaliła, że niema innej rady, tylko cholerę spalić. Co postanowiono, natychmiast wykonano. Nieopodal cerkwi rozniecono ogień i wywleczono biedną dziewczynę. Bijąc w bębny i kotły i krzycząc przeraźliwie, rzucono ją na płonący ogień, gdzie w najokropniejszych mękach życie zakończyła. Ciemny tłum dokonał swego, ale mimo to cholera nie przestała grasować we wsi.

Pochowany w spirytusie. Niedawno zmarł w Perpignan, we Francyi, lekarz Dr. Klemens Berjoan, który zapisał dość dużą sumę jednej z instytucyi w Perpignan pod warunkiem, iż ciało jego zostanie włożone w drewnianą trumnę przesyconą smołą, ta zaś będzie wstawiona w cynkową, zamykaną hermetycznie i napełnioną dziewięćdziesięciostopniowym spirytusem.

»A to dlatego — głosi testament — ażeby moich kości nie rozproszono później po świecie i żeby ktoś pozbawiony skrupułów nie przywłaszczył sobie, jak to się często zdarza, mego grobu«.

Wolę oryginalnego zapisodawcy wykonano skrupulatnie i lekarz spoczął w spirytusie. Gdyby przykład Dra Berjoana znalazł naśladowców, to państwa nie potrzebowałyby trudzić się nad wyszukiwaniem nowych źródeł podatkowych, wystarczyłby na wszystko podatek od spirytusu.

Straszny widok tracenia skazańca. O przykrej scenie tracenia skazańca podczas egzekucyi mordercy Perella w Sandie, który w pijaństwie zamordował swą matkę, donoszą z Paryża. Perell stracił niemal zmysły, gdy mu doniesiono, że zbliża się jego ostatnia godzina. Wybąkał wyrazy;

— Niewinny! nie wiem o niczem! — i wpadł w omdlenie.

Lekarz więzienny wstrzyknął mu na wzmocnienie, aby umożliwić pochód do szafotu. Wreszcie musiano skazańca zanieść do gilotyny i położyć na deskę, przyczem jeden pomocnik kata trzymał za głowę, drugi za nogi. Widok odrażający tej rzezi oburzył obrońcę Perella, Riega, do tego stopnia, że zwrócił się do obecnych dziennikarzy z temi słowy:

— Piszcie w swoich dziennikach, że tu ścięto człowieka, który nie był odpowiedzialny za swój czyn. Od trzech miesięcy mam mocne przekonanie, że Perell wogóle nie wiedział, co w szale popełnił.

Być może, że skazaniec, chcąc uniknąć śmierci, udawał obłąkańca, ale też być może, że sąd strasznie się pomylił.

Wyspa św. Heleny. Samotna, skalista wysepka, na której spędził Napoleon ostatnie lata życia, uchodziła dotychczas za skaliste, bezludne prawie pustkowie. Opisaniem jej zajął się obecnie gubernator wyspy, bawiący w Londynie na urlopie, który przedstawia wyspę św. Heleny jako mały raj ziemski, jako idealne miejsce wypoczynku dla nerwowo chorych. Mimo niewielkiej rozległości, posiada wiele malowniczych części i wyborny klimat. Śmiertelność jest tam może najmniejsza na świecie, bo wynosi tylko 6 na 1000. Ludność miejscowa zapomniała już prawie o Napoleonie. Tylko niektórzy starcy pamiętają jeszcze opowiadania rodziców, lub też sami, jako dzieci, widywali jeszcze Napoleona. Jest on do dziś dnia nazywany na wyspie »jenerałem Bonaparte«. Historyczny dom, gdzie Napoleon mieszkał, stoi jeszcze, ale nie pozostało w nim już nic prawie, coby przypominało owe dni historyczne. Jest to budynek jednopiętrowy, na pół kamienny, na pół drewniany. Dawniej otaczały go drzewa, obecnie stoi samotny wśród skał. Z urządzenia nie pozostało ani śladu; jedynie w sypialni widać wielkie popiersie cesarza. Nieco pamiątek przechowuje się w gmachu gubernialnym; jest tam zakładka do książek, szafka i słynny stół bilardowy. Służył on tylko przez rok do rozrywki Napoleonowi; potem Napoleon odesłał go swoim strażnikom więziennym, a pokój bilardowy zmienił na pracownię, gdzie przesiadywał długie godziny nad mapami, rozgrywając z pomocą chorągiewek jeszcze raz swoje zwycięztwa aż do Waterloo.

Żmija w gardle. Przed kilku dniami, gdy słońce wzbiło się ku górze i promieniami swemi ogrzało ziemię w Telawie, na Kaukazie, zasnął pewien pastuszek snem smacznym na pastwisku. Spał bardzo smacznie z otwartemi ustami, nie wiedząc nic co się koło niego dzieje.



Nagle przebudził go ból straszny w gardle. Podniósł rękę do ust i przekonał się, że z ust zwisa mu ogromny ogon żmii. Szarpnął za ogon i ze wszystkich sił ciągnąć począł, by wyrwać z gardła olbrzymią żmiję, która podczas snu wpełzła mu do gardła. Niestety, jednak nadaremnie. Na krzyk pastucha nadbiegli towarzysze, poczęli również ciągnąć i urwali tułów, głowa została jednak w gardle. Wsadzili go na koń i chcieli zawieźć do doktora, w drodze jednak nieszczęśliwy skonał.

Przygody miodowego miesiąca. U ludzi bogatych jest zwyczaj, że państwo młodzi pierwsze tygodnie po ślubie, zwane pospolicie »miodowym miesiącem«, spędzają na podróży po obcych krajach. Obyczaj ten istnieje najbardziej rozpowszechniony między Amerykanami, którzy zazwyczaj na podróż poślubną wybierają się do Europy i zabawiają się w największych i najbogatszych miastach, jak Londyn, Paryż, Wiedeń. Jednak są i tacy, którzy lubią polowanie, dzikie okolice, niewygody i w takie strony jadą z młodemi żonami. Tak też zrobiła niedawno młoda para amerykańska, która chciała zaznać niezwykłych przygód i miała szczęście, bo spotkały ją przygody istotnie niebywałe.



Pospieszyli zatem do Alaski, najbardziej na północ położonego kraju Stanów Zjednoczonych, gdzie zimno panuje podbiegunowe a zwierzyna dzika odznacza się dzikością i wielkością. Pewnego poranku młodzi małżonkowie jechali sobie konno przez lasy w towarzystwie myśliwców miejscowych, którzy pokazywali im drogę. Nagle na polanie leśnej wyskoczył z krzaków olbrzymiej wielkości jeleń. Dzikie zwierzę, postraszone widokiem ludzi, do czego nie przywykło, rzuciło się na jeźdźców i jednem potężnem uderzeniem rogów rozpruło brzuch koniowi młodego męża. Żona jego strzeliła z rewolweru do jelenia, chybiła jednak i ugodziła kulą psa, który padł na miejscu trupem. Na szczęście jeleń przestraszył się wystrzału i uciekł. Wtedy małżeństwo zaczęło sobie robić wzajemnie wyrzuty. Mąż zarzucał żonie, że o mało co jego samego nie zabiła z rewolweru, żona drwiła i wyśmiewała męża, że nie umie jeździć dobrze konno i nie potrafił uniknąć ciosu jelenich rogów. Od słowa do słowa szło coraz gorzej i wreszcie tak się pokłócili, że postanowili się podać do rozwodu. W największym gniewie powrócili do domu i zaczęli się starać, aby małżeństwo ich unieważniono.

Wdała się w to rodzina i po paru tygodniach załagodziła spór, tak że małżeństwo się jakoś porozumiało i połączyło na nowo. Wtedy postanowili dokończyć podróży poślubnej i wyjechali już nie do zimnej Alaski, ale do gorącego Meksyku. I tam jednak nie służyło im szczęście, rychło pokłócili się znowu i rozwiedli.

Po kilku miesiącach przyszli do przekonania, że mogą się pogodzić i znowu wzięli ślub. Oczywiście mowa tu o ślubach protestanckich, nie o katolickich, bo Kościół nie uznaje i nie daje rozwodów, ponieważ ślub jest Sakrament, a nie prosty kontrakt ludzki.

Na trzecią podróż poślubną wybrali się do Kaliforni, w Ameryce zachodniej, i tam polowali po wąwozach tak długo, aż się poróżnili i po raz trzeci rozstali. Upłynęło pół roku i znowu wzięli nowy ślub a po roku znowu ta sama historya się powtórzyła. Za każdym z pięciu razy odbywali nową podróż poślubną... Trzeba im przyznać, że nikt nie miał dziwniejszych miodowych miesięcy i nikt nie doznał w ich czasie tylu przygód. Poprostu Amerykanie ci mieli, jak się zdaje, za dużo pieniędzy a za mało pracy i nie wiedzieli, czem sobie życie wypełnić.

Pomalowany nietoperz. Z Mossulu w Azyi donoszą o następującem zabawnem zdarzeniu: Zoolog austryacki, Dr. Wiktor Pitschman, wrócił niedawno z Mezopotamii, gdzie podróżował wraz z Friesingerem. Obaj podróżni udali się obecnie do Bagdadu. Przybył tam także bar. Handel, który przeszedł góry Kurdystanu. Panowie ci wprawili Bagdad w niezwykłe ożywienie. Codziennie można było widzieć tłumy ludzi przed domem misyonarzy Dominikanów, gdzie uczeni zatrzymali się chwilowo. Przed bramą zbierały się tłumy z wężami, ptactwem, owadami i wszelkiem robactwem, które znoszono na sprzedaż dla zoologów. Wielu ludzi ciągnęło znaczne zyski z podróżników, jakkolwiek w duchu śmiali się z »obłąkanych« profesorów europejskich. Jakiś staruszek przyniósł na sprzedaż nietoperza. Odprawiono go z kwitkiem i pouczeniem, że i w Europie są nietoperze. Spłoszony właściciel nietoperza nie dał jednak za wygraną. Przyszedłszy do domu, pomalował nietoperza »henną«, farbą która nadaje bardzo ładny połysk. Używają jej szczególnie damy wschodnie do barwienia paznokci. Pomalowawszy tak nietoperza, uparty handlarz udał się z nim znów do profesora, który nie posiadał się wprost z radości na widok tak cudnego zwierzątka. Profesor był najgłębiej przekonany, że odkrył nowy, nieznany jeszcze rodzaj gacka. Któż jednak opisze jego zdumienie, gdy przy obmywaniu zaczęła z nietoperza spływać farba.

Straszna kara. Pisaliśmy w poprzednim numerze *Roli* o niepokojach trwających w Persyi od paru lat. Otóż w kraju tym raz ta, drugi raz tamta strona bierze górę, aby znów być pokonaną i tak ciągle w kółko. Cierpi na tem nietylko kraj cały, ale i poszczególne jednostki, gdyż strona ta, która się dorwie władzy, karze nieraz w straszny sposób swoich przeciwników. Zdarza się przytem, że i niewinny pokutować musi za rozwydrzenie innych.



Do najstraszniejszych kar w Persyi, a nawet w całym świecie, należy wieszanie skazańca za nogi, na dół głową. Można sobie wyobrazić, jaka to straszna męczarnia. Z początku kara taka zdaje się nic nie znaczyć, lecz po chwili krew zaczyna uderzać do głowy, wnętrzności pchają się do gardła i człowiek poczyna się powoli dusić. Męczarnia ta trwa nieraz długo, chyba, że go prędko krew zaleje i śmierć prędzej nastąpi.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

Na próbę podajemy dzisiaj poraz pierwszy arytmogryf do rozwiązania; jeżeli on się czytelnikom spodoba będziemy dawali częściej, Ponieważ może nie wszyscy wiedzą, jak się arytmogryf rozwiązuje, damy małe objaśnienie: Oto podług podanych znaczeń szukamy stosownego słowa. W tym arytmogryfie n. p. pierwsze słowo jest »Dukla«. Gdy to słowo dobrze odgadniemy, to wiemy jaką literę oznacza umieszczona w odpowiedniem miejscu liczba, a więc w tym arytmogryfie każde 1 = d, 2 = u, 3 = k, 4 = l, 5 = a. Gdy mamy przynajmniej jedno słowo dobrze odgadnięte, inne przyjdzie nam już łatwiej odgadnąć. A więc prosimy popróbować:

1	2	**3**	4	5	Miasto w Galicyi
6	7	**8**	1	9	" " "
10	5	**14**	8	4	" " "
10	3	**8**	4	11	" " "
12	5	**13**	14	8	Służy do bielenia
12	5	**14**	1	5	Imię żeńskie
8	6	**15**	5	1	Jedzenie
17	11	**16**	11	7	Drukarz
10	8	**3**	5	4	Miasto w Galicyi
13	7	**5**	18	5	Stolica Czech

Zamiast liczb powstawiać odpowiednie litery. Rząd środkowy czytany z góry na dół da nazwisko poetki polskiej.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Kazimierz Suchodolski z H.).

Gonili się goście po lipowym moście
Nie zgonią się może, aż w glinianym dworze.

3. SZARADA.

(Nadesłał Józef Kuzio z B.).

Drugie jest Adama potomek,
Niegrzeczny, palestyński ziomek;
Pierwsze litera często używana,
Całość — roślina bardzo dobrze znana.

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Piotr Lipowiak z L.).

Po literze wskazuje
Dobre wiersze pisuje.

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy jak zwykle oprawną książkę z obrazkami. — Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 12 listopada. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 43 *Roli:* 1. Zagadka: **Kawka,** 2. Szarada: **Palisady,** 3. Łamigłówka:

1	5	4	3	2	15
3	2	1	5	4	15
5	4	3	2	1	15
2	1	5	4	3	15
4	3	2	1	5	15
15	15	15	15	15	

4. Zagadka: **Ojciec święty.**

* * *

W oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.: Józef Kobylański z L. (wierszem), Franciszka Andrusikiewicz, Wł. Lanoszka z S. Michał Dudek z Ż., Józefa Hirszberg z K., Józef Gąsior z S., Ks. Jan Koza z Ż., Jakób Paff z Ch., Władysław Stefański z G., Franciszek Cyran z M., Adela Bezokówna z K. m., Leon Łętowski z S., K. Baron z P., Stanisława Kowalska z K., Fr. Migdał z S., Piotr Grudek z B., Jan Turbiarz z B.

Nagrodę p. t. ***Wiązanka powieści*** wylosował p. **Franciszek Cyran** z M.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Ks. Jan Koza w Ż.: Stosownie do życzenia wysłaliśmy. Józef Kobylański w L.: Rozwiązanie zagadek wierszem było dobre, ale zanadto długie, więc nie mogliśmy umieścić. — Józef Kuliński w W.: Marki otrzymaliśmy i żądane numera wysłali. — Józef Marczak w D.: Posiadamy jeszcze na składzie pewną ilość wszystkich numerów *Roli* od początku bieżącego roku i każdemu je chętnie po nadesłaniu należytości wysyłamy. — Mikołaj Szewczyk w M. (Bośnia): Pięć koron otrzymaliśmy, a więc prenumerata do końca 1911 r. zapłacona. Wobec tego w podarkach szczęścia, o czem piszemy na drugiej stronie okładki, będzie Pan brał udział. Prosimy o jednanie nowych czytelników. — Wiktor Izdebski w T.: Dziwi nas ogromnie, co to może być, że my już dwa razy numer 28 wysyłali, a Pan go nie otrzymał. Obecnie wysyłamy po raz trzeci. — Karol Leyko w M.: Numera od Nowego Roku wysłaliśmy. Prosimy o polecanie *Roli* znajomym. — Jan Rączka w B.: *Rolę* wysyłamy najregularniej wszystkim, a jeżeli komuś zginie, to wina poczty, nie nasza. Jeżeli Panu trzy numera jeden po drugim zginęły, to widoczne, że się komuś w drodze *Rola* podoba a żal mu pieniędzy na prenumeratę, więc cudza zabiera. Wniesiemy w tej sprawie reklamacyę do c. k. Dyrekcyi poczt we Lwowie.

W dalszym ciągu nadesłali pranumeratę PP.: Brem Stanisław z K. (4 K.), Frączek Piotr z P. (1 K.), Karol Miszczak z B. (2 K.), Walenty Szeliga z P. L. (4 K.), Świątek Jan z S. (1 K.), Czopek Wojciech z D. (2 K.), Fic Grzegorz z D. (4·65 K.), Hrabia Romer z K. z. (2 K.), Mikołaj Szewczyk z M. (5 K.).

Z powodu święta Wszystkich Świętych targ na zboże i bydło i trzodę jest zamknięty.

MĄDRY RABIN.

Do pewnego mądrego Repe, uczonego w piśmie, przybyła deputacya i zapytała: — Powiedz nam kochany Rebe, kto jest bogatszy, czy ten, co ma 100.000 kor., czy też ten, co ma 10 córek.

Rabin podumawszy chwilę odparł: Stanowczo ten, kto ma 10 córek, bo kto ma 100.000 radby mieć jeszcze więcej, kto ma zaś 10 córek, ten sobie z pewnością nie życzy ich mieć więcej.

KIEDY KRAŚĆ?

Sędzia do oskarżonego. — Kradzież twoja dlatego jest szczególnie karygodną, ponieważ popełniłeś ją w czasie nabożeństwa, kiedy wszyscy ludzie byli w kościele.

Oskarżony. — Proszę pana sędziego, ja już nie wiem, kiedy kraść! Wtedy nie można, gdy wszyscy są w domu i wtedy nie, gdy nikogo niema? Więc kiedyż mam kraść?

WESOŁY CZŁOWIEK.

Pan (do starej sługi, która pierwszy raz jechała koleją): — Jakże się wam Katarzyno jechało?

Sługa: — Dobrze, prosę pana! Ale ten, co nas wiózł, to musi być dopiero wesoły człowiek!

Pan: Dlaczego?

Sługa: A no... bo co raz, to sobie pogwizdywał.

Pan: Jakże pogwizdywał?

Sługa: Ano, mocno, maszyną...